

# ODRODZENIE

## TYGODNIK

Rok III

Kraków, dnia 28 lipca 1946 r.

Nr 30 (87)

**Nagrodę „Odrodzenia“ za najwybitniejszy tom prozy polskiej  
wydany po 1 września 1939 r.**

**otrzymał**

**TADEUSZ BREZA za powieść „Mury Jerycha“.**

Jury nagrody literackiej „Odrodzenia“ w składzie: **Kazimierz Czachowski, Maria Dąbrowska, Julian Krzyżanowski, Waclaw Kubacki, Karol Kuryluk, Stanisław Lempicki i Kazimierz Wyka**, zebrane w dniu 20 lipca 1946 r., przyznało czterema głosami przeciwko trzem nagrodę w wysokości 100.000 zł za najwybitniejszy tom prozy polskiej, wydany po 1 września 1939 r., powieści **Tadeusza Brezy „Mury Jerycha“**.

Drugim kandydatem do nagrody był **Wojciech Żukrowski** jako autor książek „Z kraju milczenia“ i „Porwanie w Tiutiurlistanie“.

Oprócz tego brano pod uwagę jako wyróżniające się książki: **Jerzego Andrzejewskiego „Noc“**, **Kazimierza Brandysa „Miasto niepokonane“**, **Stanisława Dygata „Jezioro Bodeńskie“**, **Michała Rusinka „Z barykady w dolinę głodu“** i **Seweryny Szmaglewskiej „Dymy nad Birkenau“**.



TADEUSZ BREZA

W dniu 22 lipca b. r., dniu Święta Odrodzenia Polski, odbyło się w Krakowie w lokalu klubu „Kuźnica“ uroczyste wręczenie nagrody Tadeuszowi Brezie.

W czasie obiadu, wydanego z tej okazji przez redaktora „Odrodzenia“, przemawiali po kolei: **Maria Dąbrowska, Stanisław Lempicki, Tadeusz Breza, Kazimierz Czachowski, Jerzy Andrzejewski, Julian Krzyżanowski, Zofia Dembińska, Stanisław Witold Balicki, Karol Kuryluk, Julian Przyboś** i **Jerzy Ronard-Bujański**.

Prócz członków jury w obiedzie wzięli m. i. udział: **Stefan Flukowski, Walery Goetel, Konstanty Grzybowski, Adam Marczyński, Hanna Mortkowicz-Olczakowa, Wojciech Natanson, Andrzej Pronaszko, Zbigniew Pronaszko, Marian Promiński, Czesław Rzepiński, Józef Sieradzki, Tadeusz Lehr-Splawiński, Leopold Staff, Jerzy Szaniawski, Jan Alfred Szczepański, Helena Wielowieyska, Julian Wołoszynowski**.



WACŁAW KUBACKI

# Sny o industrializacji i oświacie

(Głosy z przeszłości)

W związku z szeroko pomyślaną przebudową naszej struktury gospodarczo-społecznej, na marginesie żywej dyskusji nad zacofaniem technicznym Polski oraz narzekaniu nad atechniczną mentalnością ziemaków, żeby nie mówić wręcz o maszynowstręciu i niechęci do kultury materialnej — postanowiłem przypomnieć parę głosów z niedalekiej przeszłości. Są to marzenia filomatów wileńskich o industrializacji ojczyzny, jako nowoczesnej drodze do potęgi gospodarczej, oświecenia publicznego obywateli, wzmoczenia dobrobytu i „szczęśliwości“ (ówcześni materialści, encyklopedyści i reformatorzy nie lękali się takich ludzkich, idealistycznych akcentów). Chcieli w ten sposób stworzyć warunki najodpowiedniejsze do obrony narodowości i politycznej odbudowy kraju.

Towarzystwo Filomatów zamierzało wydawać pismo periodyczne. Sztab filomacki przygotował projekty. Przedrukujemy tutaj ustępy z referatów Tomasza Zana, Jana Sobolewskiego, Teodora Łozińskiego i Michała Rukiewicza.

Na posiedzeniu naukowym wydziału II, dnia 16 kwietnia 1820 roku przedstawił Zan swoje uwagi nad programem zamierzonego czasopisma. Spotykamy tam między innymi następujące myśli:

„Przy poznaniu ziemi, jej uprawie, przy wiadomości użytków z pól, jakiej z siebie wydaje, ważną rzeczą rolnikowi są narzędzia i maszyny, które jego pracy ulżyć, większą korzyść z produktów wyciągnąć pomogą. **Mechanika zatem stosowana**, czyli opisanie łatwych, niekosztownych, a wielkiego skutku w użyciu, do rolnictwa i gospodarstwa służących, narzędzi, machin, aparatów niech nie będzie w piśmie naszym zapomniane, owszem, między innymi przedniejszymi naukami miejsce zajmowane powinno, a to takim sposobem wykładane, iżby najnieuczestniejsi czytelnik pojął, wrozumieć i doświadczać mógł.

Na próżno by rolnik znał plody pożyteczne ziemi i łatwo je zbierał, gdyby nie znał, jakim sposobem najlepiej przerobić je dla użytku, zdrowia i wygody. Glinie i kto wie, jak idzie ziarno nieumiejętnie na gorzałkę lub piwo przetwarzane. Mamy krowy, mamy owce, a sery zagraniczne drogo opłacane sprowadzać musim. Wędliny nawet za granicą kupują. Niechajże cukru z buraków nie dobedziemy, niech cukier z Ameryki idzie, bo trzciny nie mamy; ależ z równego mleka — masła i serów, z równego jęczmienia — piwa, z równej trzody — mięsa, z równych jagód, owoców — soków i miodu, napoju równego miód nie możemy? Rozszerzać zatem i upowszechniać sposoby przerabiania pól do naszego użytku niechaj będzie naszym staraniem; **chemia rolnicza, technologia, farmacja** między mechaniką i historią naturalną kwitnąć powinna. (Wszystkie podkreślenia pochodzą od Zana. Przypisek mój).

Takie nauki, takie wiadomości, takie nauki popularne mogą podnieść rolnictwo, mogą pomóc do dobrego bytu i dobrego utrzymania życia. Ależ spojrzymy na powierzchnię naszej ziemi, przejdźmy obszernego kraju litewskiego prowincje: postrzeżemy chałupy rolnika, ledwo by do przechowania trzódki służyć mogące, postrzeżemy nędzne dworki, miasteczka krzywe, nieczyste i zawaleniem się grożące. Mamy drzewo, z którego Prusacy pięknie i trwałe budowle stawiają; gdzie nie ma drzewa, tam glina i ziemia, a gdzie tej dobyć, przerobić i na budowanie użyć trudno, tam kamieni pełno. (Zapewne niejednemu czytelnikowi przypomną się często przytaczane przed drugą wojną światową słowa Norwida z „Promethidionu“:

...więc mi smutno,

Ze mazowieckie ani jedno płótno  
Nie jest sztańdarem sztuce — że ciosowy  
W krakowskim kamień zapomniął rozmowy,  
Ze wszystkie chaty chłopskie krzywe...  
(przypisek mój)

Czemuż byśmy więc sami — ciągnie dalej Zan — uczyć się i drugim środkiem jak najoszczędniejszą i najlepszą podawać do budowania mieszkań dla ludzi, stodoł dla przechowania trzody (!), produktów, narzędzi i (domyślnie: budowania) fabryk nie mogli? **Architektura** przeto, z tego względu uważana i wszystko, co do niej należy, jako przerabianie gliny na cegły, kamieni na wapno, użycie ziemi, drzewa, kamieni do budowania czwartego miejsca zająć w piśmie periodycznym musi.

Cóż mówić o przerabianiu wełny, lnu na nici, nici na sukna, płótna, płócienka, co o farbowaniu, bielieniu, co o dozywaniu i przerabianiu rudy żelaznej, co o papierniach, co o młynach, mostach, groblach? co o rozmaitych rekondytorach, łatwo zaprowadzić się mogących? co o tym wszystkim które (zamiast: co) kwitnienie i szczęście zewnętrzne ludów okazuje? Wszystkie te przedmioty ma nasze pismo periodyczne mieć na uwadze, jego współpracownicy do tego się przykładają i w tym względzie pracować (powinni). Takowe pismo musi być od największej liczby mieszkańców chwytane i czytane, takie pismo ze starannością, gorliwością wydawane może pomagać do

szczęścia braci naszych. Kraj stanie się ogrodem i miastem, mieszkaniem go polubi, bo mu ani ziemia ani praca nie będzie niewdzięczna; wszystko co do tego szczęścia przeszkodzi, poczuje i uprzytywiać zechce. Tak gdy oświecenie umysłu, naprostowanie serca ku temu się przyłączy, a każdy poczuje, co to jest być wolnym narodem — o, gdyby się nasze życzenia gorące spełniły! — w naszej ubogiej Litwie nie zazdrościlibyśmy Włochom, Francji, Anglii. (Archiwum Filomatów, część II, „Materiały do historii Towarzystwa Filomatów“, t. II, str. 231—3. Kraków 1921. Polska Akademia Umiejętności, wyd. St. Szpotanski i St. Pietraszkiewiczówna).

Pewnego wyjaśnienia wymaga ustęp o cukrze. Zan łatwo godzi się na import cukru trzcinowego, naturalnego, jakbyśmy dziś powiedzieli, bo cukier syntetyczny, buraczany, który dla nas stał się z kolei rzeczą cukrem naturalnym, był wówczas marzeniem i produkcja jego wymagała wyższego stopnia uprzedysławienia i większego kapitału. Był to niedoskonały, drogi surogat z czasów ekonomii wojennej, pamiątka totalizmu napoleońskiego, europejskiej samowystarczalności gospodarce. Rezygnacja z cukru buraczanego ma w ustach studenta wszechniczy wileńskiej specjalną wymowę. Przypomnijmy przy tej sposobności, że jedna z przyrodniczych sław imperatorskiego uniwersytetu, prof. Jędrzej Śniadecki, sceptycznie się zapatrywał na karierę buraka cukrowego, dworował sobie z zagranicznych technologów i przemysłowców, a burakowi przeznaczał rolę bardziej sielską i więcej odpowiadającą charakterowi narodowemu mieszkańców Wielkiego Księstwa Litewskiego. Otto Ślizien, słuchacz kursu chemii prof. Jędrzeja Śniadeckiego opisując w swym „Pamiętniku“ wykłady głośniego naturalisty, jego „słodki sposób wysławienia się“, głęboką znajomości i zamiłowanie przedmiotu, dodaje: „W cukier jednak buraczany, by ten wszedł w praktyczne użycie, chemik Śniadecki nie wierzył i ironicznie odzywał się na lekcji: „Botwinka i barszczyk z buraków to wysmienity wynalazek, ale z cukrem niechaj się schowają“. („Z filomackiego świata. Zbiór wspomnień z lat 1816—1824“. Wydał Henryk Mościcki. Warszawa 1924, str. 112—3).

Żał do buraka cukrowego, że zawiódł pokładane w nim nadzieje, pobrzmiewa także z artykułu ks. Stanisława Jundziłła, profesora historii naturalnej w Uniwersytecie Wileńskim, pt. „O dawnych i nowych oszczędzania kawy sposobach“. Czytamy tam: „Na koniec, buraki cukrowe... które przed kilku laty cieszyły nadzieją dostarczenia cukru na całą Europę, nie mogą znieść wielkich obłędów Achara, do zastępstwa kawy, a przynajmniej do znakomitego jej oszczędzania wezwane zostały“ („Dziennik Wileński“, 1805, nr 9, str. 517-8). Sprawa syntetycznego cukru nie dała uczonym spokoju. W roku 1820 „Dziennik Wileński“ podał za rosyjskim periodykiem „Syn Ojczyzny“ wiadomości z Monachium, że jeden z niemieckich uczonych sprawdził doświadczenia niejakiego Brakompa z Nancy, który otrzymywał substancję cukrową i gumę działającą kwasem siarczanym na trociny, sieczkę, szmaty i stare gazety (t. I, str. 352-3).

Drugi z kolei głos zasługuje na jeszcze większą uwagę. W piśmie Jana Sobolewskiego, czytany na posiedzeniu naukowym wydziału II, dnia 28 kwietnia 1820 roku, znajdujemy przebiegły myśli o gospodarce planowej, o scentralizowaniu środków produkcji rolnej, jakbyśmy dziś w gwarze urzędowej się wyrazili, a nawet o pewnej kolektywizacji jako następstwie uprzedysławienia i racjonalnej mechanicznej uprawy roli:

„Największa u nas liczba mieszkańców uprawa roli się trudni i w łonie ziemi swych bogactw szuka, lecz razem największą część dla niedostatku robotnika na pół tylko uprawną rolę zasiewać musi. Jakimże sposobem przyjąć do powiększenia liczby rąk, nad rolę pracujących? Liczba ludności powiększona zaradziaby temu, lecz do tego pismem przychylić się nie można. Zaprowadzenie machin, które dziś tysiące ludzi zastępować musi, dostarczyłoby znaczną liczbę rąk do roli. Aby wszakże tego dokazać, zdaje mi się, iż należy: **naprzód** przekonać wszystkich o koniecznej potrzebie machin i o użyteczności, jakie by stał kraj i każdy w szczególności obywatel odnosił; **po wtóre**, ponieważ niektóre maszyny są tak kosztowne, iż sporządzenie ich przechodzi możliwość prywatnych obywateli w szczególności branych, dlatego zachęcić, aby w pewne formowały się towarzystwa i wspólnym kosztem, a przeto mało dla obywateli znaczącym, zaprowadzali je; **trzeci**: dawać opisy machin pożytecznych, z wylczeniem korzyści, jakie każda przyniesieć może, z obrachowaniem wydatków, jakich na zaprowadzenie ich potrzeba, starając się z porównania wydatków i przychodów wyciągnąć i oczywiście pokazać, jakie ta lub ową machina korzyści przyniesie. Za rozszerzeniem machin, skoro ich ujrzą pożytek, znajdą się chęć zakładania fabryk, przez co rękodzieła, sztuki i kunsztu, dziś u nas zupełnie zaniedbane, wzrost wezmą“. („Materia-

ły do historii Towarzystwa Filomatów“, t. II, str. 237).

Uwagi Teodora Łozińskiego, czytane na posiedzeniach naukowych wydziału II, 19 marca i 17 czerwca 1820 roku, przynoszą nowy cenny materiał. Trzeźwy i prozaiczny Łoziński nie jest zwolennikiem mierzenia siły na zamiary, widzi jasno, że entuzjastyczni kole-dzy zakreślają sobie zadania przechodzące ich możliwości:

„O statystyce traktować, trzeba być statystą; chcąc dokładnie jej kogo nauczyć, trzeba samemu doświadczać, a któryż się z nas teraz tym pochłubić może? Udzielanie tedy wiadomości statystycznych, gospodarczych i rekondytorów w naszym piśmie niech ma miejsce, jestem za tym, lecz nie więcej, jak w kształcie wiadomości naukowych, przynajmniej do czasu, póki sami praktykować, albo w praktykach przez inne osoby więcej pożytku nie będziemy widzieć“.

Z zagadnień praktycznych, w obawie przed szkodliwą improwizacją i niekompetencją szlachetnych reformatorów (bo już wówczas apostołami techniki byli poeci, literaci, humaniści), przesuwa Łoziński punkt ciężkości na zagadnienia czysto naukowe, które nazywa „środkiem ułatwiającym i przyspieszającym pomyślny skutek“ uszczęśliwienia narodu przez postęp techniczny. Kult nauk ścisłych, oprócz ich teoretycznej użyteczności i roli praktycznej w upragnionej industrializacji kraju, ma mieć nadto cele pedagogiczne, ma umocnić nieumysłowość rodaków i w ten sposób przygotować nowych obywateli do nowych „technicznych“ warunków bytu:

„Odrożywszy miłość narodową na stronę, z upokorzeniem wyznać musimy, że nasz naród co do nauk ścisłych czyli dokładnych na bardzo niskim stoi stopniu po Koperniku i po jego nauczycielu, znakomitej gwiazdzie Akademii krakowskiej, a lubo w zesłym wieku Poczuł i dotąd żyjący jeszcze Śniadecki utrzymują sławę narodu polskiego u obcych, zawsze jednakże daleko niższej stoją u Francuzów i Anglików. Nie możemy pochlebiać sobie, abymy pierwsi byli, którzy by sławę narodową i w tej gałęzi nauki, a w ogólności i we wszystkich naukach tego oddziału podnieśli; przyłożył się jednak do tego ile możności za obowiązek nawet poczytuję. Niech prace nasze i w tym względzie idą w ręce ziemaków przez pismo periodyczne, a kiedy nie z dokładności i rzeczy i nie z nowych wynalazków, to przynajmniej z usilności zjednamy zaszczyt dla siebie; prócz tego miłą rzeczą dla nas będzie, gdy może bieglejsi w tych przedmiotach, których przez to miłość własna dotknięta zostanie, niechają się dać uprzedzić, zaczęta gorliwiej pracować nad rozkrzewianiem i udoskonalaniem tych nauk w naszym narodzie“. („Materiały do historii Towarzystwa Filomatów“, t. II, str. 245—6).

Najbardziej polityczny wyrobiony w gronie filomackim był napoleończyk i późniejszy czynny spiskowiec, Michał Rukiewicz, w uwagach czytanych na posiedzeniach naukowych wydziału I, 20 kwietnia i 22 czerwca 1820 roku główny nacisk położył na uspołecznienie nauki, wiedzy i techniki:

„Wszelkie dzieło umysłu lub ręki człowieka, jeśli cechą rzeczywistej wartości na sobie ma nosić, jak najbliższy związek z rzetelnym dobrem ludzi mieć powinno. Celem przeto ma być pożytek pośredni lub bezpośredni społeczeństwa ludzkiego, sposoby zaś, do osiągnięcia zamierzonego celu w nim używane, takie, które najbardziej zapewnić mogą pomyślny skutek prac i usiłowań autora. Plody rolnictwa, sztuk i rękodzieł, zaspokajając konieczne potrzeby i wygody życia naszego, przynoszą bezpośredni użytek wszystkim mieszkańcom, a ścisłe umiejętności, coraz nowych dostarczając do ich ulepszenia sposobów, czynią je coraz pożyteczniejszymi.

Rzecz się ma inaczej, szczególnie w nie-szczęśliwym kraju naszym, z płodami umysłu. W nim pisarze, zapominając o ważności powołania, pióra swoje albo zabawie niepożytecznej, albo przedmiotom, im samym tylko zrozumieli, poświęcają. Wszystkie prawie ich pisma z małym bardzo wyjątkiem dalekie są od bezpośredniego użytku licznych klas mieszkańców. W nieoświeceniu i zepsuciu pograżonych. Dlategoż uczeni, którym los pozwolił poznać prawa człowieka, przeznaczenie i środki, którymi trafić do niego może, nie zwrócą szczególniejszych usiłowań ku tej części współziomków i nie obmyślą pewnego rodzaju pisma, które by, mieszcząc w sobie najpożyteczniejsze dla nich prawdy i wiadomości, wykładane w sposób łatwy a dla czytelników swoich przystępny, dało im poznać godność człowieka i podawało środki do zapewnienia własnego szczęścia, a przeto i społeczność, którą składają“.

Uważając oświatę za niezawodny środek postępu moralnego i uszczęśliwienia rodu ludzkiego ten wychowanek racjonalizmu jest równocześnie działaczem i żołnierzem, czyli człowiekiem praktycznym, więc pragnie oderwanym ideałem nadać kształt widomy i obmyślić najlepszą taktykę oświatowo-społeczną, a zarazem polityczną. Za najbardziej przy-

gotowaną i społecznie dynamiczną uważa warstwę średnią, zdradzając znajomość dialektyki rewolucji francuskiej i wolnościowych ruchów europejskich na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku. Ta warstwa średnia w jego ujęciu zdaje się składać z oświeconych mieszczan i postępowych sfer szlacheckich, zapewne drobno-szlacheckich, ściągających ku miastu. To mają być kadry przyszłej powszechnej oświaty. Na tę klasę zdaje się też spadać zadanie odzyskania wolności, jak się można domyślać z ostrożnych jego słów. Błąd powstania listopadowego, wąska społeczna jego podstawa, wyłączenie z gry politycznej chłopów, jako siły jeszcze historycznie niedojrzałej, nawet tu, w studenckim kółku, widoczny! Dyskusja nad pismem periodycznym odbywała się w roku 1820. Za dziesięć lat członkowie tych kółek będą odpowiedzialnymi za losy kraju obywatelami!

Tragizm tego pokolenia polegał nie tylko na tym, że dążąc do wolności metodycznie przygotowywało klęskę nie stwarzając odpowiednich do walki sił, ale także na tym, że chłopom chciało dać gotowe dobrodziejstwa swobody, zamiast ich uczynić współbojownikami o wolność. Oprócz błędów politycznych, my widzimy dziś jeszcze błąd poważniejszy, „strukturalny“: wywołane masy chłopskie miały uczestniczyć w dobrodziejstwie, będącym owocem trudów to prawda, ale równocześnie będącym także wypadkową ideałów i interesów obcych warstwie chłopskiej, interesów i ideałów przeznaczonych do historycznego działania warstwy średniej.

Krytyka klasowa jest w tym przykładzie łatwa, więc ją tylko zaznaczam. Błąd strukturalny odnosi się także do sfery pedagogicznej i kulturalnej: Rukiewicz jak inni filomaci i w ogóle ich nauczyciele mówili o jednej, uniwersalnej oświacie dla wszystkich czasów, krajów, ludzi i klas, bo wierzyli w jakąś powszechną, abstrakcyjną, ahistoryczną naturę rozumu ludzkiego. Nauka ówczesna zaledwie doszła do spostrzeżenia wpływu klimatu na obyczaje i umysłowość ludzi. Mówiła tylko o użytkach wynikłych z postępu wiedzy dla społeczności, co wcale nie jest równoznaczne ze społecznym celem i społecznym charakterem oświaty. Dlatego Rukiewicz, podobnie jak jego epoka, mógł na razie ze względów taktycznych chłopów zostawić na boku: klasa średnia, bardziej zaawansowana, obiecywała spełnić szybko te same w gruncie rzeczy zadania: „Nie masz co pod tym względem uważać klasy ziemaków, która przeznaczona tylko być się zdaje na srogą i wieczną niewolę, bo ta zaledwie poznać może swoją egzystencję“. Taki był bieg myśli, która skazywała na bierność masy „egzystencjalistów“, czyli ludzi ograniczonych do najwykleszych potrzeb bytowania na pół zwierzęcych; od zupełnego osunięcia się do stanu zwierząt bronił ich „przywilej“ pracy. Była to cecha ludzka, albowiem większość zwierząt nie pracuje.

Po wykształceniu kadr oświatowo-politycznych następuje drugi etap pracy społecznej: oświata powszechna: „Powiększona liczba ziemaków, do dalszego oświecania się przygotowanych, mając nieskrępowane usta i wolne ręce, łatwo wszystkie gałęzie nauk wydoskonali i smak wykształci, kiedy własne (tj. uposiedzenie społeczne; przypisek mój) i całego kraju nieszczęścia (tj. niewola polityczna — przypisek mój) nie staną na przeszkodzie...“

W samej hierarchii potrzeb Rukiewicz idzie za epoką racjonalizmu: „Dzieje narodów nas przekonywają, że w nich, niżli wszelkie gałęzie nauk podniosły się do wysokiego stopnia

W poprzednim 29 (86) numerze „Odrodzenia“ z dnia 21 lipca 1946 r.: Jerzy Burzyński: Wyjaśnijmy nieporozumienia. — Franciszek Gil: Ranone lato. — Hieronim E. Michalski: Na pozycjach humanitaryzmu. — Z poezji francuskiej: Charles Cros (przełożyła Julia Hartwig); Szlifierz. Stephane Mallarmé (przełożył Mieczysław Jastrun); Dziewicze żywe piękne dziaś. Saint-Pol-Roux (przełożył Adam Ważyk); Lazarz (fragment). Emile Verhaeren (przełożył Allan Kosko); Mleko. Tristan Dereme (przełożył Ryszard Matuszewski); Domy czerwone... Guillaume Apollinaire (przełożył Adam Ważyk); Cien. Jules Supervielle (przełożył Julian Rogoziński); \*\*\*. Jules Supervielle (przełożył Adam Ważyk); \*\*\*. Max Jacop (przełożyła Julia Hartwig); Z teki pośmiertnej: Miłość bliźniego. Cleopatra. Paul Eluard (przełożył Zbigniew Biełkowski); Bez urazy. Złoty warg twoich. Pierre-Jean Jouve (przełożył Stanisław Bruz); Dywan jabłoni. Guillaume Apollinaire (przełożył Adam Ważyk); Strefa (urywek). Leon-Paul Fargue (przełożył Stanisław Bruz); Sny. — Wojciech Natanson: Poeta dyrektorem Komedii Francuskiej. — Malarstwo francuskie (Honoré Daubier). — Janina Lipska (rysował Adam Marczyński); Serwantka. — Tadeusz Peiper: Młody poeta w domu Kandydy. W związku z przedstawiłem w Krakowie. — Wacław Kubacki: Dyskusja mickiewiczowska. — Z Ogólnopolskiego Salonu w Warszawie (Aleksander Rak). — ks. Henryk Weryński: Katolicy polscy wobec lewicy. List otwarty do red. Jerzego Turowicza i red. Wojciecha Kętrzyńskiego. — Tadeusz Dobrowolski: W sprawie społecznej roli sztuki. — W pracowniach pisarzy i uczonych. Ankieta „Odrodzenia“. (Zbyszko Bednorz, Roman Klekowski, Janury Kolodziejczyk). — Kronika literaturoznawcza. — Konstany Grzybowski: Ostatnie ataki „podziemia“. — Andrzej Ryszkiewicz: Na marginesie katalogu wystawy Zbrodni niemieckiej w Polsce. — Ję: Neontysemizm. — Jaszcz: Przegląd prasy. — Sigma: Z teki dr. Prota Sowińskiego. Miot na syreny. — Kazimierz Wyka: Duchy poetów podśluchane. — Marian Promiński: Kronika filmowa. — Jaszcz: Z mojego zebrań. — K. I. Gaczyński: Dwa paszkwile na Kocubinią Hermenegildę. — Korespondencja (Witold Wirpsza). — 11 ilustracji. — 12 stron.



doskonałości, pierwszej starano się o dobry byt największej części mieszkańców, po czym szczęście ogólne narodu, razem i wszystkie nauki olbrzymim krokiem naprzód postępowywały. („Materiały historii Towarzystwa Filomatów”, t. II, 20—2). Osiemnastowieczny jest też optymizm i autokratyczny charakter tego wymarzonego postępu.

Projektem filomackiego czasopisma zajmował się w swoim czasie prof. St. Pigoń. Można stwierdzić, że wzorem „pracy organicznej” dla filomatów byli profesorowie Imperatorskiego Uniwersytetu w Wilnie. Organ profesorski, „Dziennik Wileński”, pilną uwagę poświęcał zagadnieniom oświatowym, pedagogicznym (referaty o Pestalozzim), śledził rozwój techniki w Europie, popularyzował zdobyte przez przyrodnicę (matematyka, fizyka, chemia, medycyna) i prowadził parę działów o charakterze informacyjno-praktycznym.

W roku 1820, roku filomackich snów o industrializacji i oświacie, mamy obok działów humanistycznych jak historia, podróże, filozofia, literatura, poezja i oświecenie publiczne, następujące działy techniczne w „Dzienniku Wileńskim”: 1) Rolnictwo (informacje o stanie i metodach pracy za granicą), 2) doświadczenia gospodarskie, 3) sztuki przemysłowe, 4) budownictwo, 5) fizyka, 6) wynalazki i 7) geografia.

Oto parę ważniejszych spraw, które poruszono w roku 1820 w rubryce „Doświadczenia gospodarskie”: sposób poprawienia zboża spleśniałego, mlekomierz, sztuczne drożdże, sposób farbowania kolorem żółtym i szarym za pomocą kartofli, sposób wyrabiania lnu i konopi bez moczenia, o różnych sposobach pędzenia wódki z ziemniaków, o torfie, o szukaniu miejsc do kopania studzien, o korzystnym urządzeniu saletrzarni, o poprawie masy używanej do polewy naczyń glinianych, o udoskonalonej produkcji dachówek, o środkach przeciw gąsienicom, o osuszaniu ziemi, o przerabianiu chmielin na wódkę, o wyrobieniu nieprzemakających materiałów wełnianych, lnianych i bawełnianych.

W roku 1821 „Dziennik Wileński” przyda nowe rubryki: Statystyka, Ekonomia polityczna, Meteorologia, Technologia i Historia naturalna. Wiadomości do tych rubryk czerpało pismo z wydawnictw francuskich, niemieckich i z dziennika technologicznego Petersburskiej Akademii Nauk. Osobny dział w „Dzienniku Wileńskim” stanowiły „Raporty osób wysłanych przez cesarski uniwersytet wileński dla doskonalenia się w naukach”. Stypendyści opisywali polonice w bibliotekach zagranicznych, badali zakłady edukacyjne w Szwajcarii, organizację szkolnictwa wyższego we Francji („Dziennik Wileński”, 1819) i zdobycze techniczne obcych krajów. W sprawozdaniu z wyjazdu do Francji znajdujemy w roku dyskusji filomackiej opis „machiny do tkania i do postrzygania sukna”, taranu i prasy hydraulicznej, maszyny do robienia pończoch, hutę żelaznej, młynów zbożowych i kanału St. Maur na Marnie.

Nawet antyracjonalistycznie nastawiony „Pamiętnik Magnetyczny” prowadzi rubryki „Mechanika”, „Historia naturalna” i „Gospodarcze wiadomości”, informując swych czytelników o szkockich młocznarniach, angielskich maszynach przedziałniczych, o machinach wynalezionych w Rosji, o wyrobieniu octu i ekonomicznej budowie pieców. Ze skojarzenia mediumizmu i teozofii z gospodarką rolą powstawały czasem takie zabawne historie, jak opisy przemiany owsa w żyto wskutek częstego koszenia runi owsianej, co irytowało pionierów postępu z „Dziennika Wileńskiego”.

Uniwersytet, zorganizowany według praktycznych założeń Komisji Edukacyjnej, świecił przykładem społeczeństwa. Związki nauki z potrzebami społecznymi i państwowymi były ściśle. Ks. Stanisław Jundziłł nie tylko wykładał, organizował gabinety przyrodnicze, układał plany akademii weterynaryjnej, zakładał i latami pielęgnował sławny ogród botaniczny w Wilnie i pisał podręczniki z zakresu botaniki i zoologii, lecz także na wezwanie władz administracyjnych obmyślał środki przeciw szarańcy nawiedzającej południowo-wschodnie gubernie, prowadził poszukiwania geologiczne, udzielał porad hutniczych i trząsał się staruszek bryczkami po wyboistych polskich drogach, by badać — często mylnie informowany — złoża torfu i źródła solankowe. (Por. „Pamiętnik” w „Archiwum dla historii literatury i oświaty”, t. XIII.).

Za naukami przyrodniczymi nie zostawała w tyle humanistyka. Zakwita wówczas w Polsce wspaniale filologia klasyczna oparta według wzorów angielskich i niemieckich o ścisłą metodę naukową. Historia staje się szkołą życia, nauką moralności. Zaczyna kielkować ludoznawstwo. Literatura przygotowuje się systematycznie do roli duchowego przewodnika narodu. Poezja opiewa tryumfy wiedzy. Jak nowoczesny jest Ignacy Szydlowski, gdy pisze „Ode na pamiątkę urodzin doktora Jennera” („Dziennik Wileński”, 1820, t. II) Charakterystyczne jest dla Oświecenia, łączącego kult nauk ścisłych z kultem antyku motto do tej ody wyśpiewanej na cześć medycyny. Motto z „Odysei”: „Lekarz doskonały wyższy jest nad wszystkich ludzi”.

Wybrał i objaśnił ustępy z „Materiałów do historii Towarzystwa Filomatów”

Wacław Kubacki

STANISŁAW A. MAJEWSKI

# Pax Britannica

Powojenna sytuacja międzynarodowa widziana z wysp brytyjskich

Na konferencji pokojowej w Paryżu w 1919 r. amerykańscy i brytyjscy delegaci postanowili utworzyć w swych krajach instytuty naukowo-badawcze dla zagadnień wojny i pokoju. W tym celu powstał w Stanach Zjednoczonych The Council of Foreign Relations in New York (Rada Stosunków Zagranicznych w Nowym Jorku), a Brytyjczycy założyli u siebie The Royal Institute of International Affairs (Królewski Instytut Spraw Międzynarodowych), znany obecnie pod nazwą Chatham House. Gdy sytuacja międzynarodowa coraz bardziej się zaostrzała i gdy wybuch drugiej wojny światowej wydawał się już nieunikniony, Foreign Office zwróciło się do Chatham House o przydzielenie mu kilku ekspertów; utworzyli oni tajną instytucję pod nazwą Foreign Research and Press Service. Do jej zadań w czasie wojny należało badanie spraw zagranicznych i urabianie opinii publicznej w Anglii i w państwach sprzymierzonych. Jednym z tych ekspertów był Lionel Curtis. Zlecono mu wykłady w Uniwersytecie Oksfordzkim, na które kierowano wojskowych brytyjskich i sprzymierzonych. Z wykładów powstała seria książek. W ostatniej z nich autor omawia ewentualność... trzeciej wojny światowej i przedstawia projekt takiej organizacji międzynarodowej, która — zdaniem jego — mogłaby skutecznie, aniżeli Liga Narodów, stać na straży powszechnego pokoju\*).

Geneza książki ułatwia należyte zrozumienie i właściwą ocenę wyłożonych w niej myśli. Nie są to indywidualne, prywatne poglądy autora, zrodziły się one ze zbiorowej wieloletniej pracy brytyjskiego MSZ i jego licznych przybudówek. Dlatego warto się nimi zainteresować. Lionel Curtis jest zawodowym dyplomata. Wieloletni rzecznik Foreign Office z nałogu zachowuje swoisty styl not dyplomatycznych nawet wówczas, gdy pisze dla szerokiej publiczności. Poglądy jakie sugeruje w swych książkach, są mniej istotne, aniżeli myśli niedomówione i sprawy zupełnie przemilczane; cum tacent clamant.

Posłuchajmy jednak najpierw sugestywnych wywodów autora.

Każda wojna, zwłaszcza światowa, przynosi ludzkości ogromnisze zniszczenie. Ewentualna trzecia wojna światowa przyniosłaby niechybnie katastrofę cywilizacji. Pierwszym więc obowiązkiem i zadaniem współczesnych jest szukanie sposobów, jak nie dopuścić do tej katastrofy. Dzieje XIX wieku mogą nas pouczyć, jak zapobiec trzeciej wojnie światowej. Jedną bowiem stroną dziejów więcej nauczy, aniżeli cały tom logiki, a jeden dobrze zrozumiany fakt historyczny jest bardziej przekonywający aniżeli cała litania argumentów. Otóż historia współczesna pouczyła nas, że entente cordiale nie zapobiegła pierwszej wojnie światowej i że Liga Narodów okazała się instytucją tragicznie bezradną wobec konfliktów międzynarodowych, które — sumując się — doprowadziły ostatecznie do drugiej wojny światowej. Ani więc

\* World War its Cause and Cure by Lionel Curtis. Foreword by Sir William Beveridge, London, 1945. Inne książki autora poświęcone tej samej sprawie: Decision, 1941; Action, 1942; Faith and Works, 1943; The Way to Peace, 1944.

przymierza grupy mocarstw światowych, ani zjednoczenie państw według wzoru Ligi Narodów nie mogą zabezpieczyć pokoju i zapobiec trzeciej wojnie światowej.

Bezradność Ligi Narodów wynikała z jej bezsilności: nie miała ona własnego ramienia zbrojnego. Z tego samego powodu także prawo międzynarodowe nie miało jakiegokolwiek znaczenia. Cóż to bowiem za Sprawiedliwość, która posiada tylko wagę, a nie ma karzącego miecza? Zresztą to, co powszechnie nazywają prawem międzynarodowym, nie jest wcale prawem w ścisłym słowa znaczeniu. Jest to jeden z licznych wypadków niewłaściwego używania terminu. Co najwyżej można mówić o istnieniu pewnych zwyczajów międzynarodowych w czasie wojny i pokoju. Międzynarodowy Trybunał może te zwyczaje wyjaśniać i interpretować, ale nie jest w mocy ani je zmieniać, ani ustanawiać nowe. Tworzyć bowiem nowe prawa, albo zmieniać stare, może tylko władza ustawodawcza, którą wykonywa naród lub zespół narodów, bezpośrednio lub przez swoich reprezentantów w tym celu wybranych i upoważnionych. Nie ma więc właściwie dotąd prawa międzynarodowego, gdyż nie ma dotychczas międzynarodowej władzy ustawodawczej, ani międzynarodowej siły zbrojnej, która by stała na straży praw uchwalonych przez ową międzynarodową władzę ustawodawczą.

Angielski filozof Hobbes w dziele pod tytułem „Lewiatan” wychodził z założenia, że był czas, gdy wcale nie było społeczeństwa ludzkiego. Był to stan chronicznej anarchii i nieustannej walki jednostek między sobą. Bellum omnium contra omnes. Pojawienie się i wzrost władzy państwowej położył kres tej anarchii: z pierwotnego chaosu wyłaniały się zorganizowane społeczeństwa. Stało się to jednak kosztem przyrodzonych praw jednostek, które władza państwowa musiała ograniczyć, aby mógł powstać pokój wewnątrz poszczególnych społeczeństw. W ten sposób powstało prawo narodowe, które reguluje wzajemne stosunki poszczególnych członków społeczeństwa. Istota prawa polega na tym, że zakazuje ono jednostce używać przemocy, której stosowanie uznano za monopol władzy państwowej. Z rozwojem cywilizacji władza państwowa coraz rzadziej stosuje przemoc; sama świadomość jej istnienia wstrzymuje jednostki od wkraczania w sferę życia innych jednostek. Na ogół we współczesnych państwach anarchia ustąpiła miejsca praworządności, a stan wojny wewnętrznej — pokojowi i bezpieczeństwu.

Ale — wywodzi dalej autor — prastan cywilizacji opisany przez Hobbesa istnieje dzisiaj nadal we wzajemnych stosunkach 60 suwerennych narodów świata, które zorganizowane jako państwa stanowią jednostki rzędu wyższego. Jeżeli chce się ratować współczesną cywilizację, to najwyższy czas, aby ograniczyć suwerenne prawa narodów-państw na korzyść nadpaństwa międzynarodowego. W tym celu należy odebrać narodom prawo posługiwania się siłą zbrojną, przekazując je jako monopol instytucjom międzynarodowym stojącym ponad poszczególnymi państwami. Instytucje takie dysponując siłą zbrojną zlikwidują anarchiczny stan wojny między poszczególnymi państwami i będą stały na straży pokoju i bezpieczeństwa powszechnego.

W ten sposób uniknie się fatalnego błędu, jaki popełniły zwycięskie mocarstwa po pierwszej wojnie światowej. Zamiast stworzyć międzynarodową siłę zbrojną, która mogłaby odstraszyć każdego agresora, ogłoszono i częściowo realizowano hasło powszechnego rozbrojenia. Zamiast dać międzynarodowej sprawiedliwości karzący miecz — pokładano wszystkie nadzieje w obezwładnieniu i bezsilności napastników. Nie doceniono ogromnej, ale dyskretnej roli psychologicznowychowawczej, jaką i dzisiaj jeszcze odgrywa siła w państwach nawet najbardziej praworządnych. Tak jak w każdym państwie musi istnieć siła zbrojna gotowa do natychmiastowego działania, ilekroć nastąpi naruszenie bezpieczeństwa publicznego, tak i w życiu międzynarodowym należy stworzyć siły, które by stały na straży bezpieczeństwa narodów i powszechnego pokoju. Muszą być one tak wielkie, aby odstraszyły nawet najpotężniejszego agresora. Można mieć nadzieję, że w miarę rozwoju kultury siły te będą coraz rzadziej używane, że sama świadomość ich istnienia będzie powstrzymywała od ryzykownych napaści.

Słowem, pacyfizm taki, jaki głoszono po pierwszej wojnie światowej, okazał się czystą utopią. **Pacifism is not enough nor Patriotism either!** (Nie wystarczy pacyfizm, nie wystarczy patriotyzm!). Ten sugestywny tytuł książki lorda Lothiana, byłego ambasadora brytyjskiego w Stanach Zjednoczonych, jest hasłem raz po raz powracającym na stronach książki Curtisa\*).

Wyrzeczenie się suwerenności narodowej w rzecz rządu federalnego, który by z biegiem czasu obejmował coraz więcej narodów, a w końcu wszystkie narody demokratyczne — jest nieodzownym warunkiem trwałego pokoju powszechnego. Tymczasem — Karta Atlantycka, deklaracja moskiewska i statut Organizacji Narodów Zjednoczonych ułożony w Dumbarton Oaks uznają „równość suwerenną wszystkich państw miłujących pokój”. Otóż na tej właśnie zasadzie była oparta dawna Liga Narodów. „Karta” zastąpiła „statut”, a „Lige” — „Organizacja”. Rząd bardzo często się zdaje, że rozwiązały pewne problemy, gdy znalazły dla nich nowe nazwy. Równość ta zresztą jest tylko czysto formalna, bo dla wielkich mocarstw zastrzeżono w Radzie Bezpieczeństwa **liberum veto**, które będzie paraliżowało działalność O. N. Z. w tym samym stopniu, jak działalność Ligi Narodów paraliżowała dawniej zasada jednomyślności w jej Radzie.

Takie oto nauki wysnuwa autor z nowej i najnowszej historii. Jak wyobraża on sobie powstanie ponadpaństwowego aeropagu międzynarodowego, zbudowanego na innych podstawach aniżeli Liga Narodów? Autor przewiduje trzy fazy. W pierwszej nastąpiłoby ściśle zespolenie dominiów i Indji ze Zjednoczonym Królestwem. W drugiej fazie do tak przekształconego Imperium Brytyjskiego przystąpiłyby — Francja, Belgia, Holandia i państwa skandynawskie... Z kolei przyłączyłyby się Stany Zjednoczone. Ostatnie fazy wyznacza autor „innym sprzymierzeńcom europejskim”, ZSRR, Chinom i ewentualnie także byłym państwom totalitarnym po otrzymaniu przez nie edukacji w duchu demokratycznym... Mimo podeszłego wieku autor spodziewa się dożyć pierwszej i drugiej fazy. Znacząca jednak z melancholijną rezygnacją, że nie liczy na to, aby jeszcze za jego życia Stany Zjednoczone dojrzały do tego kroku. Czwartą zaś fazę zdaje się odkładać ad calendas graecas...

Celowo (i przezornie...) autor omawia w szczególności tylko kwestię ściślejszego zespolenia dominiów z Królestwem Zjednoczonym. Przypomina on, że Adam Smith powiedział kiedyś, iż Wielka Brytania jest tylko projektem imperium. Dzisiaj jest ona tylko projektem commonwealth, który należy dopiero zrealizować. Według bowiem obecnego statutu imperialnego — o pokoju i wojnie decyduje tylko rząd Jego Królewskiej Mości, w którym rządy dominiów nie są reprezentowane. Jest rzeczą zrozumiałą, że ten kto decyduje w pewnej sprawie, ponosi również wszystkie koszty z nią związane. W ten sposób cały niemal ciężar wydatków na zbrojenia w czasie pokoju spada na wyspy brytyjskie, jakkolwiek zbrojenia te mają na celu bezpieczeństwo 1/4 ludności świata. Otóż Zjednoczone Królestwo nie może ani finansowo, ani ludnościowo wytrzymać takich ciężarów. Stąd słabość Wielkiej Brytanii i nieprzygotowanie jej do wojny, mimo ogromnych bogactw. Od czasu wojny stanów amerykańskich o niepodległość, parlament angielski nakłada podatki tylko na ludność tych obszarów, które wysyłają do niego posiłki. Konferencje imperialne, szczególnie konferencja w 1926 r., która uznała dominia jako suwerenne państwa

\* Lothian był ambasadorem w Waszyngtonie w latach 1939—1940. W r. 1935 wydał on pod powyższym tytułem książkę, w której przedstawił projekty podobne do poglądów Curtisa, ale jeszcze znacznie dalej idące.

## MALARSTWO FRANCUSKIE



PIGNON

Martwa natura



stwa, pominięta tę kwestię tak bardzo żywotną dla Brytyjskiego Imperium.

Autor wysuwa więc projekt zmiany zmierzający do stworzenia nadparlamentu ogólnomiędnego, w którego skład wchodziłyby przedstawiciele zarówno Zjednoczonego Królestwa, jak wszystkich dominiów i Indyj. Taki nadparlament wyłaniałby ze siebie rodzaj nadządu imperialnego. Do zakresu tych nowych imperialnych instytucji należałyby wyłącznie sprawy wojny i pokoju, zbrojenia, bazy strategiczne, bezpieczeństwo szlaków komunikacyjnych, kształcenie kadr wojskowych, budżet na te cele i rozłożenie ciężarów na poszczególne państwa Imperium Brytyjskiego. Rozkład ciężarów i ilość reprezentantów w parlamencie imperialnym powinny opierać się na zasadzie, że każde państwo imperium ponosiłoby tym większe ciężary i posiadałoby tym licznější reprezentację, im większy jest przeciętny dochód roczny przypadający na głowę ludności. Taki klucz podziału ciężarów i przedstawicielstwa miałyby także i tę ważną zaletę, że zapobiegłoby zmajoryzowaniu nadparlamentu imperialnego przez reprezentantów Indyj, które liczą 390 milionów mieszkańców na 500 milionów ogólnej ludności imperium...

Oto w skrócie wywody i projekty Curtisa. Uzasadnia je niby filozofia, okrasza suto słowami troski o humanitaryzm, cywilizację i opiekę społeczną, przerywa niekiedy, jak to jest w zwyczaju Anglosasów, cytacjami z Piśmie Świętego i nabożnymi westchnieniami. Spróbujmy te wywody przełożyć z języka Foreign Office na zwyczajną ludzką mowę.

We wstępie do książki pisze Sir Beveridge: „Brytyjski Commonwealth, na którego kontroli morze opierała się w w. XIX Pax Britannica, dwukrotnie w ciągu w. XX nie mógł spełnić swego głównego zadania“. Rzeczywiście w obu wojnach światowych Wielka Brytania okazała się niezdolną do kierowania biegiem wypadków, musiała, jak to niejednokrotnie mówił Churchill, dać się unieść fali. Wskutek tego znalazła się dwukrotnie w ciągu ćwierćwiecza na skraju przepaści. W twardej rzeczywistości politycznej tylko faktyczne siły posiadają znaczenie, a siły Wielkiej Brytanii maleją.

W wyniku obu wojen światowych straciła ona ostatecznie prymat na morzu, a flota ma w Imperium Brytyjskim znaczenie całkiem specjalne, stanowi główną więź między macierzą a dominiami i koloniami rozrzuconymi po wszystkich kontynentach. Każde osłabienie pozycji morskiej przyspiesza rozpad imperium tak bardzo skłóconego z geografją. Już na pierwszej konferencji imperialnej w roku 1923 zaznaczył się wybitnie wzrost tendencji odśrodkowych. Na drugiej konferencji imperialnej w r. 1926 został przyjęty, ułożony przez Balfoura, statut westminsterski, który ustanowił dominia i przyznał im całkowitą niemal suwerenność państwową. Ale geografia i ekonomia działały w dalszym ciągu na niekorzyść imperium: dominia nie przestały ciążyć coraz bardziej ku Stanom Zjednoczonym, zwłaszcza pod względem gospodarczym. Konferencja imperialna w Ottawie w r. 1932 była próbą gospodarczego zespolenia imperium, na ogół mało skuteczną. Przebieg i wynik drugiej wojny światowej znacznie pogorszył ten stan rzeczy, bowiem w świadomości ludów dominialnych ustalił się całkiem uzasadniony pogląd, że właściwym protektorem integralności okazała się nie wyspiarska macierz, ale Stany Zjednoczone, które posiadają najpotężniejszą na świecie flotę morską i powietrzną, rozległą sieć baz handlowych i strategicznych, a tym samym kontrolę nad wszystkimi szlakami morskimi i powietrznymi. Po drugiej wojnie światowej przed Zjednoczonym Królestwem coraz wyraźniej zarysowywały się perspektywy osamotnienia, jeżeli rychło nie powstrzyma się dotychczasowego rozwoju sytuacji. Ta smętna perspektywa jest prawdopodobnie dziś w Anglii jedną z tych spraw, o których zawsze się myśli, a nigdy nie mówi.

Inną kwestią niemniej niepokojącą Anglików jest zubożenie ludności wysp wskutek wojny. Okazało się, że Wielka Brytania była bardzo słabo przygotowaną do drugiej wojny światowej i jak to wiadomo teraz — głównie z powodu braku odpowiednio wielkich środków finansowych. Nie znaczy to bynajmniej, aby Brytyjskiego Imperium nie stać było na finansowanie przygotowań wojennych, ale już w r. 1910 ujawnił lord Lothian, że wydatki na utrzymanie floty wojennej rozłożone są w ten sposób, iż przeciętnie na jednego obywatela wypada rocznie: w Zjednoczonym Królestwie — 15 s. 6 d., w Australii — 1 s. 6 d., w Południowej Afryce — 1,5 s. 6 d., w Nowej Zelandii — 2 s. 2,5 d., w Nowej Fundlandii — 3 d., a w Kanadzie — 0. Od czasu ujawnienia tych danych niewiele się pod tym względem zmieniło. Tak np. koszty ufortyfikowania Singapoor wynosiły 18,2 mil. funtów, z czego 14,5 mil. pokryli podatnicy Zjednoczonego Królestwa. Jeżeli więc imperium ma ostać się jako wielkie mocarstwo w powojennej konfiguracji międzynarodowej, wyspy brytyjskie muszą odzyskać utraconą hegemonię w brytyjskim commonwealth i mieć możliwość mobilizowania wszystkich zasobów dominiów na cele wojenne.

Autor pisze: „Brytyjskie demokracje będą mogły przystąpić do sprawy organicznego związania się z wolnymi państwami europejskimi, gdy takie organiczne związanie się przeprowadzą najpierw między sobą“. Dzień

16 czerwca 1940 r., w którym tak szybko i gruntownie załamała się potęga Francji, jest punktem zwrotnym w nowożytnej polityce Wielkiej Brytanii. Zainicjowana przez Wilhelma Orańskiego w końcu XVII wieku polityka równowagi sił na kontynencie — dosłownie... zawiązała w powietrzu. W tym krytycznym momencie zaświatała torysom myśl, że pod wpływem niesłychanej klęski Francja dojrzała do roli dominium brytyjskiego commonwealth. W imieniu Jego Królewskiej Mości Churchill wystąpił z odpowiednim projektem, który przez ówczesny rząd Francji został odrzucony trzynastu głosami przeciw dziesięciu. Gdy niebezpieczeństwo hitlerowskiej inwazji zmalało, a szanse zwycięstwa wzrosły, nowa koncepcja polityki torysów wobec kontynentu europejskiego pogłębiała się i rozszerzała. Nie tylko Francję, ale także Belgię, Holandię, państwa skandynawskie i „innych sprzymierzeńców europejskich“ umieszczano jako dominia w ramach brytyjskiego commonwealth. Oczywiście, aby ci nowi przybysze mogli się „komfortowo“ pomieścić, trzeba te ramy rozszerzyć, o tyle jednakże tylko, aby zachować hegemonię Zjednoczonego Królestwa.

Autor cytuje jedno z oświadczeń Churchilla: „Stany Zjednoczone i Wielka Brytania nie zakładają, że już wcale wojny nie będzie. Wręcz przeciwnie, zamierzamy przedsięwziąć jak najdalej idące środki mające na celu zapobieżenie wojnie na czas tak długi, jak tylko można przewidzieć; dlatego rozbroimy skutecznie narody, które zawiniły, a sami będziemy odpowiednio uzbrojeni“. Nawiazuje do tych

## TADEUSZ HANUSZEK

Stoimy uszeregowani dwójkami w długiej jak okiem sięgnąć sztolni, o szarych betonowych ścianach, sklepionej ostrym gotyckim łukiem, szerokiej na osiem, wysokiej na dziewięć metrów. Wmontowane w jednakowych odstępach lampy rzucają mdłe światło o fioletowym odcieniu. Odstepy między lampami wskutek oddalenia zmniejszają się w oku patrzącego, by wreszcie w oddali zlać się w jasną smugę. Klasyczny przykład wyraźnie zarysowanej perspektywy. Wzdłuż jednej ściany stoją potężne, metalowe maszyny — prasy i sztance, polyskujące kołami zamachowymi, o ciężkich kadłubach (150 ton ciśnienia) szczerzące swe uchwyty nad stalowymi płytami stołów pracy. Kapo wydaje rozkaz: „Do pracy, rozejść się!“ Przemykam się chyłkiem koło niego w ten sposób, aby między nami znajdowała się skrzynia z narzędziami i unikam uderzenia kablem. Dzień zaczyna się pomyślnie.

Dopadam mojej maszyny. Orientuję się szybko, że poprzednia zmiana pozostawiła mi nieskończoną serię płytek stalowych do wykonania. Moje samopoczucie poprawia się jeszcze bardziej. Unikam męczącego nastawiania maszyny, unikam trudnego do zrozumienia bełkotu wysokiego, ponurego Niemca — majstra Wagnera, jego zdenerwowanych okrzyków i częstych uderzeń. Podsuwam bliżej skrzynię z płytkami stalowymi, włączam kontakt. Paś transmisyjny łączący motor elektryczny z pierwszym kołem zamachowym drga, ześlizguje się początkowo z charakterystycznym świstem po stalowej powierzchni, by wreszcie wywołać ruch obrotowy. Jednostajny świst i szum maszyny łączy się z lekkim podmuchem, jakże orzeźwiający w naszej sztolni, znajdującej się głęboko pod powierzchnią ziemi, odległej o kilka kilometrów od wyjścia na powierzchnię, w samym sercu „Berg Cristal“ — podziemnej fabryki kadłubów Messerschmittów. Zdejmuje marynarkę, składam ją we zworo i kładę na maleńki, trójnożny stołek o siedzeniu z aluminiowej blachy. Bez tej podkładki siedzenie byłoby bardzo bolesne — jestem przeciw już tak bardzo wychudzony. Naciskam pedał. Potężna głowica uzbrojona w trójkątny nóż wykonany z najszlachetniejszej stali narzędziowej opada bezszelestnie w dół, sunąc między dwoma szynami. Wszystko w porządku. Siadam, odsuwam stołek w tył, bo pedał umieszczony jest niewygodnie wysoko, poruszeniem ręki rzucając sноп światła z podręcznej lampy na płytę stołu. Teraz pochylam się w prawo, ujmuję jedną spośród leżących bezładnie w skrzyni płytek stalowych w obie ręce. Płytkę ma kształt nieregularnego wieloboku, polakierowanego z jednej strony na popielato. Każda z poprzecznych ścianek płytki ma inną grubość. Na nienalowanej stronie znaczą się co kilka milimetrów punkty, zarysowujące kontur zbliżony do olbrzymiego rewolweru. Kto pracował nad tym kawałkiem stali, zanim dostał się w moje ręce? Dlaczego jest z jednej strony pomalowany? Co zrobią z nim później? W jaki sposób zostanie on wmontowany w samolot?

Na żadne z tych pytań nie umiem dać sobie odpowiedzi. Wtem tylko, że to część składowa Messerschmitta niosącego śmierć w powietrzu mym bractwem. „Rób pomału!“ Jak najstaranniejszym nasycając czaszkę tą myślą. Wkładam płytkę pomiędzy ostrze noża i otwór w stali stołu tak, aby linia ostrza pokrywała się z linią zaznaczonych punktów. Na-

wypowiedzi Churchilla Curtis pisze: „Tymi słowami Winston Churchill rezygnuje ostatecznie z „równowagi sił“ jako podstawy porządku świata... Zadaniem niniejszych stron jest wyjaśnić, że ta nowa polityka nie może być przeprowadzona przez rząd, który dysponuje zasobami ni większymi aniżeli te, jakie posiadają wyspy brytyjskie i północna Irlandia. Naszkicowaliśmy projekt zmian konstytucyjnych, niezbędnych do tego, aby rząd mógł dysponować większymi zasobami“.

Innymi słowami, nowa polityka wobec dominiów i nowa polityka wobec kontynentu europejskiego, w ujęciu Curtisa, stanowią organiczną całość i logiczny system. Polityka ta jest w gruncie rzeczy bardziej kunsztowną i dyskretniejszą postacią radykalnego imperializmu określanego w Anglii mianem jingoizmu, którego heroldem przy końcu XIX wieku był Joe Chamberlain, a natchnionym piewą Rudyard Kipling. Nowością w niej jest rezygnacja z polityki balance of power (równowagi sił), którą ma zastąpić unia realna z najbliższymi sąsiadami europejskimi.

Czy dominia zgodzą się na ograniczenie swej suwerenności, czy na nowo poddadzą się dobrowolnie hegemonii, spod której się wyzwolili? Autor jest przeświadczony, że będzie to możliwe wtedy, gdy na czele narodów staną opatrnośćowolw mężowie w rodzaju... Abrahama Lincolna i Winstona Churchilla. Za wielkimi bowiem mężami stanu narody idą nawet wówczas, gdy oni im nic innego nie obiecują, jak „krew, łzy, znoj i pot — błędy, niedociągnięcia i rozczarowania“. (Są to słowa Churchilla wypowiedziane w czasie wojny

# Praca

ciskam pedał. I znów głowica zsuwa się w dół, w pewnym punkcie napotykać na opór. Przewycięża go stal noża z łatwością podobną tej, z jaką zagłębia się nóż stołowy w nieco zeschnięty ser szwajcarski. Nie odrywam nogi od pedału. Głowica sunie już w górę i znów opada. Podsuwam płytkę od lewej ręki ku prawej. Kawałki stali wielkości pudełka zapalek opadają przez otwór w stole na betonową posadzkę. Jednostajne ruchy następują jeden po drugim. Dochodzę do miejsc półokrągłych. Tu muszę przy każdym cęciu zdejmować nogę z pedału. Pierwsza sztuka gotowa. Odkładam ją po lewej stronie maszyny i ujmuję następną. Koła pędzą bezszelestnie. Szprychy są niewidoczne. Głowica opada w dół i jedzie w górę.

Za każdym obrotem koła jest bliżej obłędu. Za każdym obrotem koła zbliża się koniec wojny. Och, żeby majster wyrzucił przez zaopinionie starą gazetę, w którą pakuje swe śniadanie! Wiedziałbym gdzie jest front. Sił starczy już chyba tylko na tydzień. Perspektywa końca wojny za miesiąc jest dla mnie nieznośna. Chociaż cóż z tego, że mnie nie będzie? Byle majster Wagner i „Kommandoführer“ ze zdumieniem w oczach patrzyli na opadający na ich szyję stryżek. Biorę trzecią z kolei płytkę. Myśl o mającym rychło nastąpić końcu wojny i jakaś radość pracy, tej pracy, którą Niemcy tak potwornie zozydźili, każe mi przyspieszyć tempo ruchów. Szybko jednak uświadamiam sobie, że robię głupstwo.

I znów moje ruchy stają się powolne. W ich jednostajności ta ospałość dla patrzącego z boku — nie wydaje się podejrzana. Sądzi on, że jest wywołana powolnością ruchów maszyny. Myślowy proces delektowania się tym faktem przerywa mi nagle uderzenie w głowę, tak silne, że czuję nie tylko oszołomienie, ale i całkowite zdrętwienie w łokciach i kolanach. Przewyciężam to i zrywam się na baczność. Przede mną stoi kapo i wskazuje kablem (miedziane druty oplecione gumą) marynarkę leżącą na zydlu. „Natychniast ubrać“ — krzyczy. Numer więźnia musi być z daleka widoczny. W milczeniu spełniam rozkaz. Siadam znów do pracy.

Pośladki złożone tylko ze skóry i kości boją przy każdym poruszeniu. Znowu biorę w ręce płytkę i naciskam pedał. Co pewien czas, szmatka umaczana w oliwie smarującej ostrze noża. Oliwa ta służy mi poza tym do mycia rąk, bo w obozie, w Gusen II, wodą można myć się tylko raz na tydzień — w niedzielę (nie wykończona instalacja wodociągowa). Oliwą tą czyszczą drewniaki przed wejściem do baraku, nacierając skórę szmatką wydobytą z rękawa (kieszeni mieć nie wolno).

Zbliża się godzina dziesiąta. Wiem o tym na pewno po znużeniu, jakie mnie ogarnia, po wzrastającym głodzie. Fała mdłego ściskania coraz częściej i coraz uporczywiej przesuwają się od żołądka ku gardłu. Ślina w coraz to większych ilościach zalega jamę ustną. W głowie szum. Linia punktów na płycie stalowej zaczyna zamazywać się, to znowu przeskakiwać z miejsca na miejsce. Marszczę brwi i całym wysiłkiem woli staram się skupić uwagę na drgającej linii. Pomyłka oznacza reklamację kontroli u majstra. Konsekwencja: 25 uderzeń. Dla zdrowych i silnych to już dużo. A cóż dopiero dla mnie? Widziałem ludzi w podobnym stanie jak ja, którzy po 25 uderzeniach byli do niczego i w parę dni umierali.

i często potem cytowane). W rozdziale zatytułowanym „Od Napoleona do Hitlera“ autor pisze: „Mechanizm polityczny, który ma realizować potrzeby i pragnienia zwyczajnego człowieka, nie dotrzymuje kroku rozwojowi techniki. Wskutek czego decyzje konieczne dla zmniejszenia zła społecznego nie zapadają w porę. Wewnątrz państw reforma społeczna pozostawała w tyle, zaczęło się rozwijać poczucie, podtrzymywane przez myślicieli takich jak Marx (?), że zło będzie można zaradzić powierając całą władzę dyktatorowi w rodzaju Napoleona, niejako uzbrojonego nadczłowiekowi, który będzie dość silny, aby w szybkiej decyzji przeciąć węzeł gordyjski“. Podobne niedomogi wykazuje według autora również współczesny mechanizm polityczny, jeżeli chodzi o szybkie decyzje w dziedzinie stosunków międzynarodowych. Autor kończy rozdział charakterystyczną frazą: „Należy rozwiązać następujący problem: jak wyposażyć rządzących w tak wielką władzę, aby byli zdolni do podejmowania wymaganych decyzji, a jednocześnie upewnić się, że nie uchylą się oni od odpowiedzialności wobec ludów, którymi rządzą“.

Na początku naszych uwag zaznaczyliśmy, że w książce Curtisa szczególnie interesujące jest to, co autor pomija milczeniem, lub czego nie dopowiada do końca. Widzimy jednak, iż pewne szczere wypowiedzi autora są również nader pouczające. Rzucają bowiem światło na powojenną mentalność polityczną niektórych sfer angielskich, tradycyjnie bardzo bliskich Foreign Office. Wyrazem tej mentalności była również głośna mowa Churchilla w Fulton.

Stanisław A. Majewski

Udaje mi się skupić uwagę. Męcę się nad znalezieniem wyjścia z trudnego dylematu: chcąc pracować uważnie, muszę ocknąć się, muszę zwiększyć tempo. A tego mi nie wolno! Nie wolno! Ale uważać muszę, bo palce. Nie ma prawie dnia, żeby ktoś, ze zmęczenia zapewne, nie uległ wypadkowi. Ucięcie lub zmiążdżenie palca. Początkowo zraniony szedł wprost na opatrunek. Teraz Niemcy, dopatrując się w tym sabotażu, biją przed opatrunkiem.

W pewnym momencie zauważam z przerażeniem, że linia punktów została przez cęcię noża znacznie przekroczone. Jak się ratować? Oglądam się gorączkowo dookoła. Majster manipuluje coś koło przedostatniej maszyny, a kapo urządza widowisko, rewidując wszystkich przechodzących przez sztolnię. Nie wolno mieć przy sobie noża, sznurka, drutu, papieru, szmatek. Wolno mieć tylko — łyżkę. Dochodzę do wniosku, że jestem na razie bezpieczny.

Naciskam pedał i trójkątne ostrze raz po raz tonie w stali. Płytkę topnieje mi w rękach. Jak to dobrze, że nie są liczone. Uśmiecham się do siebie z satysfakcją. Zniszczenie takiej płytki przynosi Niemcom większą stratę niż moja praca w przeciagu dwunastu godzin. Przypominam sobie nagle, że dzisiaj są urodziny Hitlera. Bez wahania tnę następną płytkę w drobne kawałki. Zmęczona nieustanną pracą maszyna zwalnia obroty. Nóż jest gorący. Ta sztuka musi już pójść normalnie. Ale następne? I znowu wypływa głód. Przygłusza wszystko inne. Oczy zachodzą całkiem mgłą. Ale uszy i nos pracują niesłychanie intensywnie. Wyostrzą się do niewiarygodnej wprost czułości. Nieomylny instynkt mówi, że już... I rzeczywiście! Tryumf i odprężenie. Poprzez świst, stukot i szum maszyny i młotków, warkot świrdów, leżą odgłosy stawianych na ziemi kołków z zupą, klekot blaszanych pokrywy. A tuż w ślad za nimi drażniący nas, rozkoszny, boski zapach liści buraczanych zaparzonych w gorącej wodzie. Obiad!

Ostatni kwadrans dłuży się niesamowicie. Znowu trójkątny nóż prawie bezgłownie tonie w stalowej płycie, posłuszny każdemu naciśnieniu pedału. I znowu wyrasta spod noża sylwetka dziwaczego rewolweru, który ma służyć nie wiadomo na co. Nagle... najprzejemniejszy moment doby (teraz to już jestem pewny, że i w piekle muszą być przyjemności) — syrena, co druga lampa gaśnie. Kapo krzyczy: „Maszyny wyłączyć!“ — przekreślam kontakt. Koła kręcą się coraz wolniej, szprychy stają się widoczne. Zostaje jeszcze 6 godzin pracy. Ale wobec zbliżającego się obiadu nie są one już dla mnie straszne. A może wojna zakończy się jeszcze w tym tygodniu. Za pół godziny, kiedy marzenie wleje się w ciało, kiedy łyżka zagryzta po dnie miski, a głód zostanie zaledwie w małej części oszukany — wtedy koniec wojny będzie znów niesłychanie daleki.

Tadeusz Hanuszek

## Zaprenumerować „ODRODZENIE“

można w każdym urzędzie pocztowym za pomocą przekazu pocztowego. Prenumerata kwartalna 87 zł.

Adres administracji: Kraków, Wielopole 1



KAZIMIERZ WYKA

# Traktat o losie i duszy



JERZY ZAWIEYSKI

## CZY TO POWIEŚĆ?

Chcąc ocenić „Drogę do domu“ (Jerzego Zawieyskiego\*), należy przede wszystkim odpowiedzieć na pytanie, czy utwór ten jest w ogóle powieścią? Ażeby na to pytanie odpowiedzieć, trzeba jakoś uporządkować treść i wygląd formalny książki. Rzucone zagadnienie nie jest bowiem tylko świadectwem pedantycznej i przesadnej ciekawości krytyka. Powiem od razu: książka Zawieyskiego należy do utworów pogranicznych, a przy podobnych dziełach analiza ich przynależności gatunkowej jest konieczna, by wiedzieć, czy dany utwór otwiera jakiś łańcuch rozwojowy czy też nie — na razie nie rozstrzygamy.

Przyjrzyjmy się najpierw stronie formalnej. „Droga do domu“ przyjmuje konwencję formalną, która szczególnie kwitła w okresie kielkowania powieści psychologicznej: jest to konwencja pamiętnika głównego bohatera, podparta w kilku miejscach „listami“, które spadkobierca pamiętnika „kieruje“ do brata pamiętnikarza. Te listy odgrywają zarazem rolę komentarza, w jakim Zawieyski już bez obłony podaje, co myśli o treści pamiętnika.

Ale nie tylko doktora Pawła poznajemy według tych prawd psychologicznych o sobie, jakie zdołał on osiągnąć. Rodziców Pawła poznajemy przez ich listy, które dostały się do rąk synowi, jego ród za pośrednictwem księgi narodzin i śmierci, znalezionej przez Pawła w ojcowskich Bogudziękach, właściwe dane biograficzne o ojcu Pawła otrzymujemy przez jakąś monografię naukową i tak dalej, i tak dalej. Powróćmy jeszcze do wymowy tej konwencji. Na razie stwierdzamy, że dokument jako najbardziej intymne świadectwo człowieka nie ogranicza się w tej książce do jej warstwy zwierzchniej, ale dotyczy każdej nieledwie postaci, każdego donioślejszego węzła psychologicznego.

Dokumentem najważniejszym pozostaje wszakże pamiętnik Pawła. Ów Paweł jest lekarzem i badaczem. Pamiętnik swój zaczyna spisywać w dosyć osobliwej chwili, która sprawia, że jego relacja wygląda jak spowiedź odbywana wówczas, kiedy się już otrzymało rozgrzeszenie. Zatem nie w prawdziwym następstwie zdarzeń... Bo kiedy Paweł zasiada do pisania, główna jego sprawa życiowa już się dokonała. Swoją „drogę do domu“ Paweł odnalazł i pamiętnik ma na celu ukazać retrospektywnie, jak do tego doszło. Odnalazł ją przez spotkanie Teresy i pierwsze zdania jego notat od razu to stwierdzają: „Pojawienie się Teresy stworzyło wyraźną granicę między latami, gdy Teresy nie znałem, a latami ostatnimi, ...kiedy to Teresa mimo swej woli wprawiła w odmienny ruch moje całe życie“. — „Chcę dokonać zasadniczego obrachunku i poprzez zdarzenia chcę dojrzeć główny, najważniejszy nurt mego życia“.

Na jakich pozycjach ten obrachunek się opiera? I tutaj od razu, chcąc opowiedzieć treść książki, napotykamy zasadniczą przeszkodę. Przeszkodę polegającą na tym, że zdarzeń tego utworu nie można opowiadać według ich przebiegu, bo tak postępując, nie daliśmyby żadnego wyobrażenia o „Drodze do domu“. Zdarzenia są tu całkowicie niesamodzielne; służą, a nie znaczą. Teza utworu, podana w jego tytule, jest o wiele „dłuższa“ od wszystkich zawartych w pamiętniku Pawła doświadczeń, które mają do niej doprowadzić. Bez ustawicznej pomocy autorskiego komentarza nie dałoby się w ogóle dośledzić.

Bo cóż w istocie Paweł przeżywa? Najpierw kocha żonę przyjaciela i to go jakoby wśród wewnętrznej rozterki posuwa naprzód. Ma smutne dzieciństwo, obciążone urazami, z których jako człowiek dorosły wreszcie się wyzwala. Posiada przyrodniego brata i jego ojca, którzy jakoś służą mu jako element ła-

du w życiu. Poznaje wreszcie kobietę, która — chociaż przez niego tylko kochana, chociaż nie odwzajemniająca mu miłości — pozwala jednak osiągnąć stopnie duchowe, nie zdobyte dotąd w życiu. Dzieje się zatem nietylko, że stosunek zaś pomiędzy sensem utworu a jego realnym, umieszczonym w omówieniu uzasadnieniem jest wprost przeciwny. Umiejętni być winieni w powieści. Ten sens różni się z własnego nasienia.

Powie ktoś jednak, że tego rodzaju dysproporcja zachodzi zawsze w powieści analityczno-psychologicznej. Im mniej w takiej powieści „dzieje się“ w sensie zewnętrznym, tym więcej „dzieje się“ w upragnionym dla jej głównego założenia kierunku. Któż opowie wszystkie powody nasileń i spadków zazdrości Swanna o Odette? Notujemy ten zarzut, nie odpowiadając na razie.

## DROGA DO DOMU

Skoro nie można według zdarzeń powieściowych, spróbujmy prześledzić pamiętnik Pawła idąc śladami komentarza i głównych doświadczeń bohatera. Paweł odnalazł swoją „drogę do domu“. Cóż to znaczy?

W pewnym miejscu pamiętnika Paweł notuje takie zdanie: „Wydaje mi się, myśląc o nich, że w tym daremnym trudzie odnajdywania ich niejako w ich własnym domu — odnajduję także siebie, gdyż pomimo świadomości bezsensownego uporu mam przeświadczenie, że ci, którzy mi byli bliscy i których kochałem, zatrzymali w sobie coś z mego własnego życia, coś co zarówno dla nich, jak i dla mnie jest ukrytym znakiem i tajemniczym porozumieniem, prowadzącym skutecznie do znalezienia prawdy o nich i o mnie samym — jest droga do domu“.

To jedno z najbardziej centralnych zdań utworu dotyczy dwóch problemów: najpierw sposobu szukania „drogi do domu“, sposobu, który polega przede wszystkim na obcowaniu z drugim i ustalaniu prawdy o człowieku w formach tego obcowania. Ale określa ono również, czym jest owa droga do domu: jest szukaniem prawdy wewnętrznej i wiernością dla prawdy odnalezionej. Tym drugim problemem zajmujemy się obecnie, albowiem taka „droga do domu“ dotyczy w książce Zawieyskiego jej wszystkich postaci.

Niektóre z nich są właściwie zawsze „w domu“, nie wiedząc zgola o tym. Tak jest przede

wszystkim z bratem Pawła, Bohdanem i dlatego Bohdan dla szukającego wciąż Pawła stanowi kotwicę moralną. Tak jest z doktorem Bardyniem, tak jest poniekąd z Teresą: napotykamy ją, kiedy niewygasłe posłannictwo, jakie odziedziczyła po ukochanym i dawno zmarłym Andrzeju, trwa w niej nadal: Teresa wciąż jest „w domu“. Inne postaci szukają daremnie i nie znajdują właściwie nigdy: tak jest z Marią, pierwszą wielką miłością Pawła, tak z jej bratem Krzysztofem, ale każdy, chociażby własnej drogi nie znalazł, bywa drugiemu pomocny w szukaniu. Zmarły Krzysztof — wyznaje Paweł — „spełnia teraz w moim życiu taką rolę, jakiej nie spełniał nigdy w epoce naszej przyjaźni“.

Tym, który szuka drogi do domu, jest przede wszystkim Paweł. Znajdujemy jednak u niego szlak podwójny i jesteśmy w kłopotie, która z jego dróg jest ważniejsza i czy autor nie pomieszał spraw bardzo różnych. Pierwsze szukanie domu przez Pawła to po prostu rozwiązywanie urazu psychicznego. „Rozwiązywanie za pomocą zespołu symbolicznych gestów znanych psychoanalitikom. Paweł jest dzieckiem nieślubnym, usynowionym przez kogo innego, a i ojczym jego niedługo pożył z matką Pawła. Szukając swego domu, szuka symbolicznie ojca, który go odumiał w niemowlęctwie. Kompleks rozwiązuje się w noc spędzoną w zrujnowanym i opuszczonym domu w Bogudziękach, kiedy Paweł czyta księgę narodzin i śmierci swego rodu, włączając się niejako w łańcuch przodków. Doznaje zadostęcy i kompensacji, bo na ruinach domu, on tylko, chociaż nie uznany oficjalnie, pozostał z rodu ojca“. „Zanik Bogudzięk go dzielił się w zupełności z moimi wyobrażeniami o nich, gdyż nic nie mogło się tutaj odrodzić po śmierci ojca. Wraz z nim musiało się wszystko skończyć“.

Drugi szlak drogi do domu wygląda u Pawła tak samo jak u innych osób: szukanie własnej prawdy. Paweł odnajduje ją dzięki Teresie i miłości do niej. Teresa naprowadza go na właściwy kierunek — otwartą miłość życia; ale i ten „dom Teresy“ Paweł wymija, nęcony „wezwaniami“ chrześcijańskim. „Choć oddalam się od domu mego ojca — jednak każdy krok zbliża mnie w stronę, gdzie znajduje się dom mój własny“ — powiada w pewnym miejscu.

Dotąd w porządku, bo dotąd referowaliśmy

układ myślowy utworu Zawieyskiego, nie wtrącając własnych wątpliwości. Chociaż już tutaj wątpliwości są całkiem zasadnicze: droga do domu w sensie leczenia psychologicznego to ciekawy wypadek powieściowy, ale wypadek, który nie ma nic wspólnego z drogą do domu, jako pewną powtarzalną zasadą konstruowania osobowości. Mimo że autor sprowadza te dwa szlaki do jednego, w recepcji czytelnika nie wypadają one jak szlak jednolity.

Ale i to wątpliwość mniejsza wobec wniosku, który odnajdujemy u kresu tej drugiej próby. Chcieliśmy przynajmniej komentarz zbliżyć do jego podbudowy powieściowej. Okazuje się, że jesteśmy nadal w zamkniętym kręgu tezy, a do faktów powieściowych nie zbliżyliśmy się ani na krok. Czy to powieść? — wątpliwości narastają.

## MATEMATYKA CIENI

Nazwiemy te wątpliwości dokładniej, kiedy przypatrzymy się poniechanemu co dopiero problemowi psychologicznego obcowania między ludźmi i temu, jak w ogóle postaci powieściowe wyglądają u Zawieyskiego.

„Cechą główną Adama i wrażeniem najsilniejszym była jego pogoda wewnętrzna“. O Teresie: — „cała jej postawa jest czynna, przeciwna jakiegokolwiek bierności... Jej prace... mają coś z tego samego napięcia dążeń, aby mogły sięgać dalej: być czymś znaczącym dla całości życia“. Maria była „obca i nie pogodzona... ani z tym miejscem, ani na pewno z żadnym innym miejscem na świecie, ani z sobą. To przeświadczenie o jej wewnętrznej niezgodzie było dla mnie czynnym tak jasnym, że później, gdy tyle o jej życiu wiedziałem, zawsze to był punkt wyjścia dla każdego sądu o niej“. I tak o każdej postaci.

Buduje zatem Zawieyski postaci w pewien sposób aprioryczny, a ich psychikę objaśnia systemem psychologii referatowej. Nim cokolwiek dowiemy się o danej osobie, już z góry otrzymujemy bulion, ekstrakt, esencję sądu o niej, a później z tego bulionu wszystko już wynika aż do ostatecznych konsekwencji. Zdanie dotyczące Marii jest niesłychanie znamienne, bo rzeczywiście spełnia się w całym utworze. Rzeczywiście mamy w nim najpierw powziętą z góry wiedzę autora o postaci, a później rozcieńczenie tej wiedzy na konkretne sytuacje. „Autor nie operuje postaciami żyjącymi, tylko schematami intelektualnymi“ — stwierdza to krytyk skąd inąd całkiem przychylny Zawieyskiemu (H. Wielowiejska, „Książka o śmierci“, „Odra“, nr 22).

Tymczasem prawdziwy powieściopisarz myśli konkretnymi sytuacjami, a wnioski przedstawia czytelnikowi. Zawieyski myśli komentarzami i wnioskami, a sytuacje konkretne tyle go obchodzą i o tyle je kreśli, o ile nie szkodzą apriorycznym tezom. Takie zaś postępowanie tylko z pozoru ma coś wspólnego z analizą psychologiczną — to jako odpowiedź dla czytelnika, który przypominał Swanna i Odette. Zawieyski nie oddaje nigdy głosu monologowi wewnętrznemu postaci, nie dokonuje nigdy introspekcji samodzielnej, służącej odtworzeniu czyjegoś życia wewnętrznego. Tylko to się w tych postaciach odbywa, co pomaga komentarzowi; reszta nie istnieje.

Ale powie ktoś znów, że rozumiem się z intencją pisarza. Rozmijam się w tym sensie, że żądam od niego rozdrabniania, kawałkowania osobowości, podczas kiedy Zawieyski sumuje, scala i buduje charakter. Tak przynajmniej twierdzi M. Morstin-Górska („Najpiękniejsza przygoda“, Tygodnik Warszawski, nr 27). Niestety właśnie tak nie jest i właśnie w ten niespełniony zamiar pisarza uderza niniejszy zarzut. Zawieyski sumuje w sposób referatowy i zewnętrzny, daleki od pełni i prawdy psychologicznej. Dlatego w tej książce, nasyconej tyłoma rozważaniami o osobowości, widnieje dziwny oaradoks: nie ma w niej ani jednej osoby, ani jednej samostajnej postaci ludzkiej. Snują się tylko obarczone komentarzem cienie.

Tak skonstruowane cienie obcuja między sobą, by uzasadnić czytelnikowi wypowiedzianą kilkakrotnie w tej książce prawdę, że bardziej od myśli własnych ujawniają nas cudze sądy. Chwalebna zasada, ale gdybyż choć odrobinkę Zawieyski spełnił ją wówczas, kiedy to obcowanie ukazuje. Otwórzmy książkę na którejkolwiek ze stron, podających przebieg takiego obcowania: „Krzysztof i Maria... tworzyli dla mnie mimo różnic pełnię przeżyć, choć zdawać by się mogło, że uczucia przez nich wzbudzone powinny się wzajemnie wykluczać. Bywało tak zawsze, że obecność Marii i rozmowa z nią wywoływała naraz pragnienie rozmowy z Krzysztofem i jego obecności i odwrotnie. Dopiero gdy byliśmy razem, co zdarzało się, niestety, coraz rzadziej i gdy oni mówili, a ja mogłem tylko słuchać — wówczas przeżywałem takie chwile, których wyjątkowego uroku nie starły w pamięci nawet rozmowy z Teresą. Wtedy także, pamiętam, pojawiały się we mnie nagłe uporczywe myśli o ojcu, lub bywało tak że ukazywał mi się w snach, lecz zawsze w jakiejś łączności z Marią“.

## Z OGÓLNOPOLSKIEGO SALONU W WARSZAWIE



ADAM MARCZYŃSKI

Kobieta przy stole

\* Jerzy Zawieyski, „Droga do domu“. Powieść. Warszawa, E. Kuthan (1946); str. 320.



Ustęp ten można by zastąpić kilkunastoma podobnie brzmiącymi. Cień został nałożony na cień, a pisarz się ludzi, że którykolwiek z cieni stał się od tego grubszy i prawdziwszy. Bo żaden z tych cieni nie posiada odrobiny samodzielności i nałożone zostały na siebie tylko pewne twierdzenia aprioryczne o nich; matematyka cieni w niczym nie pomnaża naszej wiedzy o jej elementach. Można w nieskończoność mnożyć Pawła przez Adama, dzielić przez Bohdana, odejmować od Teresy, jesteśmy ciągle przy tej samej cyfrze.

Tak to przez wgląd w konstrukcję postaci i formę ich obcowania psychologicznego czynią się krystalizować powody pytania: czy to powieść? Utworowi Zawieyskiego, chociaż cały się pragnie rozgrywać w świecie wewnętrznym i czysto psychicznym, brakuje zasadniczych instrumentów badawczych, którymi rozporządza powieść w przedstawianiu tego świata. Brak mu samodzielnej introspekcji psychologicznej, brak umiejętności czy też chęci odtworzenia wewnętrznego monologu człowieka. Podstawowe zadanie książki, poszukującej prawd personalistycznych, Zawieyski usiłuje rozwiązać od końca, od redukcji intelektualnej wstawianej w miejsce konkretnej sytuacji i przez to nie rozwiązuje go w ogóle.

#### DOWOLNOŚCI W POWIEŚCIOWYCH ZNAKACH

Tak więc „Droga do domu” jest czymś, co dopiero nazwać trzeba. Posługuje się wieloma elementami powieści, to prawda. Wprowadza na przykład odziedziczony po Mauriacu schemat konstrukcji, że tak powiem „nawróceńczej”: postać główna doprowadzona do chwili dojrzenia prawdy, później drwi za tą prawdą gwałtownie zatrzęsnięte. Ale tymi wszystkimi składnikami Zawieyski posługuje się w swoistym układzie, wyrzucającym poza nawias mnóstwo nieodłącznych elementów powieści, i w swoistym celu, który nie zamiera się w konstrukcji powieściowej. Jest to traktat filozoficzny wyłożony za pomocą powieściowych znaków i dbający o te znaki tylko póty, póki mu są konieczne, zresztą albo bezceremonialny, albo naiwny w obchodzeniu się z nimi.

Niektórym z tych dowolności należy się krótka uwaga. Traktat Zawieyskiego stosuje konwencję dokumentów, pamiętnika i listu. Nie będziemy się już spierać o przerost tej konwencji wiodący np. do tego, że Adam cytuje protokół gestapo badającego Teresę, a prowadzący śledztwo notuje na marginesie aktów właśnie to, co było potrzebne dla zamknięcia akcji. W jej imię popełnia bowiem Zawieyski dowolności jeszcze gorsze. Kiedy — by podtrzymać powziętą konwencję — potrzebna jest nowa relacja, postać niczym dotąd nieprzygotowana wyskakuje jak diabełek z pudełka, postać nieobecna poza tą partią książki, w jakiej doraźnie służy autorowi. Klasyycznym tego przykładem brat Teresy, Stefan. Kiedy zaś trzeba postać unieruchomić, ażeby odtąd podlegała tylko relacji, Zawieyski kładzie swych ludzi do trumien z zadziwiająco rozrzuconymi. W tej łagodnej książce więcej jest trupów niż w najkrwawszej tragedii Szekspira, a są to wszystko trupy służebne, potrzebne dla matematyki cieni.

Przytoczone komentarzem postacie w tej książce nawet w gorączce nie zostają zwolnione ze swych obowiązków podwórki wobec komentarza. Tracący wiarę Krzysztof ma — czy filozoficznie. „Wierzę w nieistnienie, jeżeli w ogóle jeszcze w coś wierzę” — przemawia takimi aforyzmami. Co gorsza, autor każe mu w ten sposób majaczyć i zapowiada, że nawet w gorączce Krzysztof nie przestanie służyć tezom filozoficznym utworu. „Krzysztof zaczął mówić, początkowo jakby bez związku, lecz potem coraz wyraźniej rósł ten dramat wewnętrzny niezrozumiały wówczas dla mnie w natężeniu konfliktów”. Trzeba być naprawdę okrutnym, by nawet w gorączce postaci nie dać spokoju.

Tak samo bezceremonialnie postępuje Zawieyski w innych sytuacjach i tak samo dzieje się to zawsze w imię ustanowionej z góry konwencji, pozwalającej nie liczyć się z rzeczywistością. Paweł uczestniczy w bitwie nad Bzurą i przedziera się ze swoim oddziałem ku Warszawie. Nagle jakiś lotnik polski skacze ze spadochronem i walczy tuż obok oddziału Pawła. Kto? Jego brat Bohdan. Dlaczego? Bo jest potrzebny dla tezy książki, która Bohdanowi przynajmniej zawsze rolę ości. „To, że Bohdan się zjawił — do reszty zdecydowało o mojej pewności zwycięstwa, gdyż było nie do pomyślenia, aby nie spełniła się rzecz, która jest wsparta poczuciem jedności z ojcem i obecnością Bohdana”. Jakoż oddział Pawła w takim otoczeniu moralnym przedziera się do Warszawy, a czytelnik dopowiada sobie, że dzieją się w tej książce cuda, byle jej tezie stało się zadość.

Nie po to cytuję te przykłady, by się wyklócać o pewne szczegóły realistyczne. Przykłady, a nie są one odosobnione, mówią coś więcej: w ogóle z rzeczywistością, a już najbardziej z rzeczywistością okupacyjną Zawieyski obchodził się w podobny sposób. Służy mu ona tylko za pozór, za pretekst i tło dla moralizujących arabesek, które wśród krajoobrazu psychologicznego okupacji przewijają się z egocentrycznym zapatrzeniem w swój bieg. Mimo zamierzonego humanizmu „Drogi

do domu”, w tej obojętności dla świata obiektywnego jest jakiś rys — mocno niehumanistyczny.

#### TEMATY TRAKTATU CZYLI O MISTYCZNYCH GENACH

Jaki jest temat traktatu Zawieyskiego? Napisałem w tytule, że jest to traktat o losie i duszy. Z niemiejszą słusznością można by napisać, że dotyczy niepoznawalności drugiego człowieka. Albo — obcowania psychologicznego. Albo — poszukiwania własnej prawdy. Bo tematów głównych jest tu kilka. I chociaż autor usiłuje doprowadzić swoje wywody do rozwiązania chrześcijańskiego, tematy nie przestają się kłębić i kłócić do ostatnich stron książki. W samym ich układzie i logicznym rozwoju wyznaczą się jeszcze trudniej, aniżeli w formalnej i psychologicznej konstrukcji utworu.

Kamieniem węgielnym „Drogi do domu” jest dobrze znana i wielce użytkowana w latach międzywojennych teza relatywizmu psychologicznego. Nie znamy siebie, nie znamy drugich, gubimy się wśród fragmentów, które nigdy nie odśladają prawdy. W przeróżnych wariantach i o różnych osobach powtarza Zawieyski zdanie rzucone na początku książki o matce Pawła: „Gdy teraz myślę o matce i gdy w faktach jej życia staram się uchwycić najprostszą logikę jej losu — coraz bardziej trwoży mnie pewność, że właściwie nie znam jej wcale, przynajmniej nie znam jej tak, jakbym pragnął”. Ta teza nie jest niczym nowym w powieści międzywojennej i nie też nowego do jej dowodów Zawieyski nie dorzuca. Sądzi inaczej: właśnie rzeczą literatury jest tę niepoznawalność, jeżeli rzeczywistość istnieje ona w kształtach aż tak drastycznych, zmieniając a nie — stwierdzać. A jeżeli stwierdzać, to na zespolach czynów i gestów świadczących, że druga istota stanowi naprawdę świat nieprzenikliwy. Ani jednego ani drugiego Zawieyski nie czyni, pozostając właściwie na stanowisku, zajmowanym przez Zofię Nałkowską w środkowym okresie jej twórczości. Inny związek z Nałkowską, to maniera imion bez nazwisk, będąca rodem z „Niecierpliwych”.

Tę nieprzenikliwą prawdę każdej jednostki usiłuje Zawieyski jednak nadać jakieś piętno bardziej uroczyste i bardziej tragiczne. Najczęstszym chyba rzeczownikiem jego utworu jest słowo los. Istnieją stronic, zwłaszcza pod koniec książki, na których ów los mieni się całymi łańcuchami tautologicznych określeń: „droga konieczności losu”, „tragiczne znaki losu” etc.

Kiedy jednak spróbować określić, co ten los oznacza w tematyce myślowej pisarza, dostajemy się w gąszcz nierozwikłanych sprzeczności i patetycznych dowolności. „Ani życie moje, ani życie niczyje nie jest siłą ślepa, nieświadomym zespołem odruchów i podnieć, grą fatalną, gdyż nie przypadek, ani bezsens powołuje życie, powołuje los, jedyną w historii świata niepodzielną i niepowtórzoną rzeczywistość”.

Zatem zapowiedź, że widocznie jakieś wyższe instancje duchowe. Tymczasem czytamy: „Každy z nich (przodków z Bogudzięk) rozwalał ciasne ramy faktów i notat, utrwala-

STANISŁAW PIĘTAK

### Przemarsz Rosjan

Niewiele zdarzeń trzeba, by o chwili zapomnieć. Na trupy patrzyłem w piasku, a o to się radości kryć nie siłę — śpiew konie poi u bliskiego lasku.

Motory pierwsze pędzą. Białe wstęgi promieni zakurzyły skroń szofera. Czolg by zbłądził w pył, w cieniów złote pręgi, lecz dłoń Nike drogę w niebo otwiera...

Nike ma młodą twarz szerniłą w dymie, a oczy jasne tak, że blask się mieni. No, atak ten w wielkim słowie zastynie, konie kurz rozniosły rżeniem promieni.

I kawalkada znika w łot pod niebem. Na piasku został ślad, który motyle całują, szukając w smętku za chlebem. Nike już jabłko je i gra na pile.

Za czym jeszcze westchnąć w cichym wzruszeniu? Żołnierz śpi, obok żołnierka w potoku przegląda się. Z szczęścia ukląknę w cieniu, lecz ogień skacze w dalekich chatup oku.

### Pamięci umarłej

Może to dzieło dalekiej piosenki, którą w liściach wierzbów zwłastuje cieni. Ujrzałem gromadkę ludzi na przybłę białej, łot ognia, oczy dzieci w izbie — i myśli moje pobiegły daleko ku czasom dawnym, że już prawie wiekom.

nych tamtej nocy w mojej pamięci i szedł do mnie z osobnym swoim losem, jak do ostatniego ogniwa, łączącego długi łańcuch istnień powiązanych mistyką tych samych genów”. Tymczasem o stronę dalej: „Gdyby nie byli to ludzie z krwi mego ojca — zapewne zastąpiłby ich inni, nieznanymi tak samo, lecz z tego samego plemienia, z tej samej duchowej substancji, tworzący więc wyższą i potężniejszą, niż biologiczna wspólnota krwi”. Albo, albo. Albo mistyczne geny, albo więc wyższa.

Ale może tylko w sferze determinacji potykamy się o takie sprzeczności? Sięgnijmy do twierdzeń o naturze samego tego losu. Czytamy, że Teresa „pokryła milczeniem moją uwagę, że tylko nieliczni żyją pełną świadomością swego losu i pełną zgodą daną życiu, które jest wynikiem ich wyboru”. O kilka stron dalej Paweł zastanawia się, co Adamowi daje jego spokój wewnętrzny: „Czy jest tam irracjonalna siła, nieznana jemu, władająca nim — siła, która kieruje jego losem i wyznacza drogi jego życia”. Znow — albo, albo. Albo wybór świadomy, albo kierująca siła irracjonalna.

Z losem na „Drodze do domu” dzieją się sprawy jeszcze bardziej niepokojące. Zawieyski wstawia po prostu ten termin w każdą sytuację, którą ma zamiar tajemniczo uwziósł. Powstają twierdzenia na pozór głębokie, ale sam nadużywany i kalkowany termin rozplątuje się i przestaje cośkolwiek znaczyć. Występuje na przykład w pamiętniku Irena, żona Tomasza, która poznawszy miłość męża dla Teresy popełniła samobójstwo, bo „niejako uznała miłość męża jako nieodwołalny los jego życia”. Irena była piękna i po jej śmierci pamiętnikarz widzi „dokładnie, że w tym zagadkowym jej pięknie był ślad późniejszego losu tak ściśle złączonego z Teresą”.

Zaznaczam, że argumentuję tylko drobną częścią wynotowanych z książki cytów, a chyba już ich dosyć, by osądzić, że centralne pojęcie „Drogi do domu” znaczy w potrzebie wszystko, z wszystkim wchodzi w tajemnicze kontakty, czyli właściwie znaczy niewiele. Powie obrońca, że nie wolno wyłapywać z książki poszczególnych twierdzeń i przeciwstawiać ich sobie. W ten sposób każdemu pisarzowi udowodnimy co krok sprzeczności. Owszem, nie wolno w normalnej powieści, gdzie pewne tezy czy sądy rozłożone są między poszczególne postaci i pisarz odpowiada za całą ich fugę, a nie za poszczególne głosy, z pozorów dysharmonijne. U Zawieyskiego jest inaczej: wszystkie sądy pochodzą z pamiętnika jednej i tej samej postaci, pamiętnika o wyrażonej intencji psychologicznej i filozoficznej. Ale może Paweł szuka i stąd tyle potknięć? Ba, im bliżej końca pamiętnika, tym większe spletnięcie sprzeczności i tajemniczych zapowiedzi. Noc rewelacji w piwnicy przychodzi zupełnie na prawach *deus ex machina*, jeszcze bardziej nieoczekiwana i stąd wątpliwa w swoich twierdzeniach, aniżeli to bywa u Mauriaca. Gest zaś Pawła w obozie był zarówno gestem świętych chrześcijańskich, co świętych laickich.

Przez to nagromadzenie wykluczających się interpretacji, traktat Zawieyskiego trudny do obrony jako powieść, z niemiejszym tru-

dem broni się jako traktat. To tylko szlachetny i inteligentny przegląd idealistycznych tez, mających wyjaśnić sens psychologii jednostkowej, przegląd, który w wielu swoich częściach ociera się o jedną z najbardziej niebezpiecznych kokieterij pisarskich — kokieteryję filozoficzną...

#### JUTRZNIENIE CHRZEŚCIJAŃSKIE I EGZYSTENCJALNE

Mieszczą się jednak w „Drodze do domu” pewne tezy świadczące o próbie wyboru. Zawieyski roznieca nad swoim utworem jutrznie chrześcijańskie i musimy się przyjrzeć, czy ich blaski są zjawiskiem rzeczywiście nowym na jego firmamencie myślowym, czy też rządzą nimi te same prawa, co w innych tematach myślowych.

Traktat Zawieyskiego jedynie wtedy usiłuje wznieść się ponad relatywizm i sprzeczności, kiedy przeimuje pewne objawienia chrześcijańskie. Same te objawienia najprościej wyglądają np. w takim oto zdaniu: „Tyłko pozornie wydaje się, że od wiecznych praw bytu chroni nas nasza odrębność i niepoznawalne otchłanie naszego istnienia”. Chodzi więc o to, by będąc chrześcijaninem nie uronić niczego z „Drogi do domu”, jej tajemnic i niepoznawalnych zakrętów. I tutaj, w uzasadnieniu tego przejścia znajdujemy w książce Zawieyskiego kilka motywów niewątpliwie oryginalnych. „Droga do domu” jest jedynym jak dotąd utworem polskim, w którym pojawiają się pewne ułbione tematy myślowe głównego dziś we Francji egzystencjalizmu. Pojawiają się na pewno niezależnie od Sartre'a, bo za okupacji nikt o nim nie słyssał w Polsce, ale w ujęciach podobnych, co u niemieckiego nauczyciela egzystencjalistów, M. Heideggera, w jego dziele „Sein und Zeit”.

Oto one: przede wszystkim pewna próba tragicznej i bytowej metafizyki czasu. U Zawieyskiego wśród rozmyślań nad czasem znajdujemy zdanie, że byt człowieka jest ustawicznym umieraniem, jest, jak to formułują egzystencjaliści — „biegiem ku śmierci”. Każda terażniejszość nasza stanowi tylko dynamiczną wypadkową pomiędzy przeszłością a przyszłością (stara teza Bergsona), przy czym napięcie ku przyszłości, dążenie ku niej stanowi dla egzystencjalisty motyw donioślejszy, aniżeli determinacja pochodząca z przeszłości. U Zawieyskiego: „Chociaż żyje w nas ustawicznie cała przeszłość nasza... to jednak głębię nurtu naszego życia wyznacza postać naszych dążeń, czyli przyszłość, która jak w napiętym łuku łączy się w górę linią prostą z przeszłością”. Również motyw nieuchronnej samotności jest tego samego pochodzenia. W komentarzach Pawła kilkakrotnie występuje przekonanie, że wnikać w cudze tajemnice, nie odbieramy ani drugiemu, ani sobie samotności własnej: „Nie mogę oprzeć się potrzebie zanurzenia się w inne, tak samo głębokie otchłanie bytu tych ludzi jak wówczas, gdy ukazują mi się w swojej wyjątkowości, gdy wszystko dla nich jest grą cieniów, a jedyną prawdą jest ich własna, niepodogdona ze światem odrębność”.

W tym względzie traktat Zawieyskiego jest niewątpliwie polskim przyczynkiem do toczącego się dzisiaj procesu myślowego chrześcijaństwa i egzystencjalizmu. Czy jest przyczynkiem świadomym, czy też ubocznym produktem reprezentowanej w tej książce rewii pomysłów filozoficznych — trudno osądzić. W każdym razie nad kapryśną, omylną i krętą „Drogą do domu” jedyne jutrznie, które rzucają nieco poświaty, są egzystencjalne w swojej podstawie, chrześcijańskie w swoim zamierzeniu.

Natomiast więcej niż przyczynkiem, bo pełnym świadectwem jest „Droga do domu” dla innej postawy — mianowicie postawy bezwzględnie idealistycznej. To bowiem cośmy nazwali esencją sądu o postaciach jest typową redukcją idealistyczną. Zawieyski sprawdza człowieka do jednej cechy zasadniczej, tę cechę nazywa, a później według niej jedynie usiłuje wyprowadzić fakty i odwrócić odrębność danego człowieka. Metoda okazuje się absolutnie zawodna, w tej personalistycznej książce nie ma ludzi. Bo charakter człowieka nie odsłania się kontemplacji zaopatrzonej w idealistyczne okienko. Charakter się spełnia pośród rzeczywistych, samodzielnych osób, osobowość się realizuje pośród konkretnych, jednorazowych zadań i czynów. Wszystko inne jest szlakiem zwierciadeł, przeznaczonych by wiernie odbijać — cieni przeznaczonych by lubować się w zwierciadle.

Także w sferze interpretacji myślowej „Droga do domu” jest takim samym szlakiem zwierciadeł i cieni. Czy istnieje jakiś predystynujący nas los psychiczny, czy też nie, czy zdolni jesteśmy naprawdę poznać drugiego, czy też nie, są to naprawdę zmartwienia zwierciadeł. Bo każda taka redukcja idealistyczna wyższego stopnia pociąga za sobą twierdzenia cząstkowe, które sobie zaprzeczają, kiedy pisarz stawia obok siebie kilka tych redukcji i każe działać wszystkim równocześnie. Nakładając jedne okulary, zaostriamo wzrok; nakładając kilka równocześnie, wpadamy w mgłę gęstszą niż bez szkieł. „Droga do domu” prowadzi na typowe, nawet w swojej szlachetności typowe manowce abstrakcyjnego idealizmu, wiedzie w świat wyzuty z wszystkiego, co czyni go naprawdę ludzkim i godnym, by w nim żyć.

Kazimierz Wyka

II

Po piasku szedłem w cichy brzoź zaulek, w dłoni gniazdo niosąc młodych jaskółek.

W południe nad źródłem znow uklekłem lekko, by ujrzeć twarz tej, której serce pękło...

Mali chłopcy płaszka na pał wbiłali.

Ja chciałem ponieść cię w świat z krwawej falii

### W rok po rozstaniu

Odwrociłem się, a wtedy astrologiczne niemal przyszło mi ujrzeć zjawisko. W uliczce, która była mi znana, wśród tęczy prześliznęła ktoś jechał nucąc na czerwonej, lśniącej bryczce i puszczał jaskółki w rzęsy smutne jeziora. Stał tylko tu dom biały i kwiat wielki, żywy, że przestrzeń zdawała się być od plękna chora. Piak przechodził powietrzem raz czarny, raz sliwy.

Chciałem ukląknąć koło kwiatu, aby kielich z bliska ujrzeć, lecz w pyłe, skryte jego cieniem, leżało dziewczę o twarzy martwych anielic. Nogł moje poderwało nagle wzruszenie. Poznałem bowiem, że to ta, którą od dziecka kocham i w bólu kochać chyba nie przestanę. Dołknąłem jej, lecz twarz jej śmiała się zdradziecko i rozsypała się znowu w proch, w światła p'anej!



TADEUSZ PEIPER

# Młodzi postępowcy, Romeo i Julia

Z powodu spektaklu w teatrze kujbyszewskim (1942)

Kujbyszew jest miastem prowincjonalnym, a choć wojna i Wołga uczyniły z niego przejściowo siedzibę zagranicznych ambasad i poselstw, jego teatr dramatyczny pozostał teatrem prowincjonalnym i ani aktorów, ani reżyserów nie wywabił z pierwszego szeregu artystów sceny. A jednak „Romeo i Julia” kujbyszewskiego teatru jest spektaklem godnym zapamiętania.

Swego czasu Osterwa, wystawiając w Krakowie „Mazepę”, uległ sugestii niektórych krytyków Słowackiego i usunął ze spektaklu polonez, który poeta wmarzył w ogrody zamczyska wojewody. Owe niewłaściwie zastosowanej chirurgii reżyserskiej przeciwstawiłem wówczas\*) twierdzenie, że polonez spełnia w „Mazepie” ważną funkcję psychologiczną i teatralną, że — odpowiednio wyreżyserowany — może sam przez się ukazać dramatyczne ustosunkowania figur i zarysować ich losy. Wskazywałem, że pod działaniem czarów muzyki i nocy pary taneczników powinny snuć się tarasami zamku i alejami ogrodu, ujawniając bezsłownie grą ruchów i odruchów tajemnice swych dusz. Z okazji bału, który Szekspir wprowadził w dramacie o parze kochanków z Verony, zreanimował teatr kujbyszewski wiele z tego, co rozstrzygała przede mną moja wyobraźnia, gdy myślałem o polonezie „Mazepy”. Z subtelnością organicznością związaną palacową zabawą z akcją, jaka się w pałacu rozgrywa, rozwijano bał z taką wiarą w jego nieodzowność i z taką troską o jego sens, że uczestniczący w nim ludzie wynurzali się z niego — znani nam lepiej. Świetne to było.

Jeszcze żywiej działała reżyseria w sposobie rozwijania orężnych pojedynków. To, co nam w podobnych wypadkach dają teatry, nawet przy znakomitym wyszkoleniu fechtunkowym aktorów, budzi w widzu z jakimś takim smakiem tylko pobłażliwą tolerancję. Kilka doskoków i odskoków, kilka chrząstów stali przyjmujemy dobrotliwie jako lichy a nieunikniony składnik admiirowanej reszty. W spektaklu kujbyszewskim uczyniono z pojedynku konflikt prawdziwie dramatyczny, dano mu przebieg starcia charakterów, rozwinęto go zgodnie z psychologią postaci, a także — ważne! — w ścisłym oparciu o przestrzenne i plastyczne dane sceny. Każdy pojedynk wrastał w dramacie i w przestrzeń sceniczną. Świetne to było.

W interpretacji samej tragedii nie było nic szczególnego. Popelniono kilka przeoczeń, co prawda takich, jakie popelniają także inne teatry, bo... może popelnia je szekspirologia?

Wyładowując na angielskiej scenie dwoje młodych ludzi, którzy kochali się wzajemnie mimo zakazów swej epoki, wyładował trzydziestoletni Szekspir bagaż poetycki, przywieziony na łodzi, w której zagłę wiały oszalałe wiatry wicheru Renesansu. Romeo i Julia są wyraziście nowymi ideami. Sposób, w jaki przeciwstawiają się ideom swego środowiska, nosi na sobie ślady nowych wpływów, jakim w owym czasie uległ sam autor. Dzieło narzuca jednak kilka kwestyj, bez których właściwego rozwiązania cała koncepcja jego renesansowości narażona jest na kalectwo. Z tych kilku kwestyj kilka:

## I

Jaką drogą Julia i Romeo, dzieci rodzin zacofanych, doszli do nowych idei, do idei ówczesnego postępu? Nie jest to pytanie obojętne, bo od odpowiedzi na nie zależy, jak widzieć będziemy obie postacie i jak przedstawią się nam one teatralnie.

Podłożem, na którym odbyło się wtargnięcie nowych idei w umysły dwojga młodych ludzi, był ich temperament, ich namiętność. Szekspir zwraca szczególną uwagę na ten składnik ich osobowości. Temperament Julii wyraźnie zaznacza mamka, gdy opowiada o niej szczegóły, z których wynika, że już jako osesek wyróżniała się popędliwością i gwałtownością. A Romeo jest — według relacji przyjaciela — człowiekiem tak ognistym, że „w jednym jego zmyśle jest więcej dzikości, niż u drugich w pięciu”.

Ognisty temperament nie zawsze przejawia się porywistymi ruchami i wybuchowymi głosami, może on podlegać opanowaniu, może nie przebiegać poprzez zewnętrzny spokój i dyskrekcję, a tylko w niekontrolowanych chwilach dochodzić do uzewnętrznienia. Ale w teatrze wszystko musi przejawiać się na zewnątrz, wszystko musi być pokazane i w jakiś sposób dopuszczane do głosu, wszystko musi być widzialne i słyszalne, bo to są teatralne kategorie ujmowania człowieka. Pierwszym więc warunkiem właściwego postawienia figur Julii i Romea jest znalezienie aktorskich sposobów ujawniania ich temperamentów.

## II

Kwestia, jaką drogą para młodych ludzi doszła do idei postępowych, wymaga uwzględnienia jeszcze jednego szczegółu.

Takimi, jakimi są, są dzięki temu, że na gruncie ich temperamentów padły złarna nowej książki. I Romea i Julii urabiała książka.

Książka renesansowa. Szekspir wyraźnie zaznacza, że Romeo jest wielbicielem Petrarki, że czytuje i cytuje jego wiersze miłosne. Julia też stoi blisko poezji. W momencie, kiedy zrodziła się w niej miłość do Romea, ujmuje swą sytuację w wierszową strofę. Mamce mówi, że to wiersze zasłyszane od jednego z kawalerów, i może mówi prawdę, choć wcale nie jest wykluczone, że ona sama te wiersze skomponowała. W każdym razie dowodzą one jej żywego interesowania się poezją.

A jeśli tak, jeśli książka wchodzi w osobowość głównych postaci dramatu jako składnik ważny, to powinna ona grać swą rolę także w teatrze, powinna dosłownie grać rolę, powinna być elementem spektaklowym, powinna być widziana. Jak ma się to stać, zależy od aktora i reżysera. W rozmaity sposób może ona być w rękach aktorów lub w otoczeniu aktorów. Gdy Julia w zakończeniu aktu wypowiada wiersze, o których mówi, że właśnie je od kogoś otrzymała, ja widzę ją nawet z folialem pergaminowym, na którym przed chwilą umieściła poetycki zapisek.

## III

Hołdowanie nowym prądom ujawniają obie postacie w licznych momentach działania.

Do najciekawszych należy śmiałość moralna, na jaką pozwala sobie Romeo w stosunku do ubogiego aptekarza, gdy namawia go do niedozwolonej sprzedaży: „Nie ma takiej ustawy, która by cię czyniła bogatym; nie bądź nędzarzem, narusz prawo!”

Z natury werońskiego dramatu pochodzi, że solidaryzowanie się z nowymi prądami wyraża młoda para kochanków najuchwytniej — samym pojmowaniem miłości.

Romeo kocha w kobiecie kobietę. Jego miłość jest miłością oczu. Panuje ona nad nim całkowicie. Przywraca mu radość życia, dowcip, szybkość słowa, których pozbawiła go poprzednio miłość nieodwzajemniona. Fakt, że kochana kobieta pochodzi z rodziny wrogiej jego rodzinie, ani na chwilę nie stwarza wewnętrznej konfliktu (inaczej niż np. u Corneille'a).

Jeszcze wyraziściej przejawia się renesansowość miłości u Julii. Występują u niej na jaw fizyczne elementy kochania i to takie jakich dotąd pod wpływem dotychczasowej moralności szanująca się literatura nie uwzględniała. Przed nocą posłubną myśli o sztuce wyjścia z dziewiczej czystości. Zrywa z pudorem tak żywiołowo, że wypowiada pogląd, iż w prawdziwej miłości nic nie jest nieskromne. Podobnie jak u Romea, nie ma w niej z powodu miłości wewnętrznych konfliktów i bardzo szybko przechodzi obok faktu, że mężczyzna, którego pokochała, pochodzi z rodziców, którzy są wrogami jej rodziców.

W ujęciu aktorskim powinny znaleźć wyraz owe renesansowe składniki miłości, pociągające ku sobie werońskich kochanków. Sztuka aktorska ma sposoby, by je zaznaczyć. U kobiety, u Julii wiele mogłaby mówić gra... suknią. Że ubiór gra rolę w szekspirowskiej charakterystyce postępowców, tego dowodzi fakt, że autor zwraca uwagę na cudzoziemski, francuski ubiór Romea, który także ma być przejawem hołdowania nowościom.

## IV

Julia wierzy słowom Romea, wierzy mu, że ją kocha. Kiedy on próbuje przysięgać, przeżywa mu, uważa wszelkie przysięgi za zbyt cenne, kochany przez nią człowiek mógłby tylko kłaść się na samego siebie, bo przecie jest jej bóstwem.

A jednak...

W czarującym duecie uczuć nadchodzi chwila, kiedy Julia żąda od Romea dowodu „uczciwych zamiarów. Po wyrazach bezgranicznego zaufania! Po słowach ubóstwienia! Żądanie, z którym nagle występuje pod adre-

sem swego bóstwa, wypowiedziane prosto, brzmiałoby tak:

— Bóstwo, żeń się!

Wysuwając żądanie małżeństwa w tej właśnie chwili, postępuje Julia niezgodnie ze wszystkim, co mówiła poprzednio. Więcej: niezgodnie z całym swym typem ludzkim, z całym swym nowatorstwem życiowym!

Jakaż przyczyna tej niezgodności? Dlaczego nagle, bez żadnych poprzednich umotywowania, żąda od Romea, by uczciwość swych zamiarów dowiódł ślubem?

Zdaje się, że ta zwrotna chwila nie zwróciła na siebie uwagi komentatorów. Romeo stoi pod balkonem Julii, śle ku niej słowa rozmiłowania i także słowa od niej otrzymuje. Jest noc księżycowa, jest cisza. Wszystko ciągnie ich ku sobie, pcha ich ku sobie, a dzieli tylko okrucieństwo pięciu metrów odległości, nie dającej się przebyć. Wydaje się, że nikogo nie ma w pobliżu, ale niedaleko jest ktoś kto czuwa. Mamka Julii. I właśnie, gdy młoda dziewczyna dopiero co wypowiedziała słowa najpełniejszej wiary w miłość swojego chłopca, gdy najzupełniej wyraziła zaufanie do niego, w tej właśnie chwili mamka odwołuje ją w głąb izby, odwołuje natarczywie. Szekspir ani jednym słowem nie podaje celu tego odwołania, ale po nim to właśnie, zaraz po nim, występuje Julia z żądaniem ślubu. Nasuwa się myśl, że tam w głębi izby skłaniała ją mamka do postawienia żądania matrymonialnego, nasuwa się myśl, że mamka, właśnie mamka, jest autorką tego żądania. Choć sama nie bez grzeszków, występuje tu jako podszept uświęconej moralności, jako przeciwniczka starych norm życiowych. Wystąpienie to, którego komentatorowie nie uwzględniają, jest jednak tego typu, że bez jego uwzględnienia postacie obojga kochanków i ich losy nie mogą być jasne.

Dlatego matrymonialna interwencja mamki powinna być w teatrze ukazana, a przynajmniej zaznaczona. W tekście nie ma materiału słownego, można więc ukazać ją tylko grą niemą. Zadanie to, które na znakowanej scenie szekspirowskiej nie było trudne, nasuwa trudności na scenie zabudowywanej, wymaga więc pomysłowości ze strony dekoratora, reżysera i aktorki.

## V

Romeo, który z taką niechęcią mówił o małżeńskim warunku Rozalindy, poprzednio przez niego kochanej, teraz przyjmuje małżeński warunek Julii!

I Romeo i Julia idą więc za sugestią mamki. Przechodzą z stanowiska opozycji w stosunku do uświęconych norm życiowych na stanowisko pogodzenia się z nimi. Sprzeniewierają się samym sobie. Tego nie widzieć nie można.

Przez to sprzeniewierzenie się los ich przechodzi w ręce duchownego, który daje im ślub. Ojciec Laurenty staje się główną sprężyną całej reszty dramatu. I wnosi ze sobą niepokojącą kwestię: jakżeż renesansowi kochankowie mogli powierzyć swój los przedstawicielowi starych idei?

Ważność tej postaci dla sprawy renesansowości Julii i Romea dobrze rozumie wnikliwy komentator sowiecki Smirnow i usiłuje z ojca Laurentego także uczynić postępowca: stwierdziwszy progresywność zakonu franciszkańskiego, do którego należy o. Laurenty, w nim samym widzi poszukiwacza nowych idei religijnych, niezależnych od dogmatyki kościelnej. W ten sposób duchowny, u którego postępowi kochankowie szukają rady i którego rady wypełniają, miałby sam być pod działaniem sił postępu.

Jak inne ze znanych mi interpretacji postaci o. Laurentego, tak i ta wydaje mi się niewystarczającą. Bo jakaż jest funkcja tego pustelnika w tragedii romeo-julijskiej?

Kiedy ojciec zażądał od Julii wyjścia za

mąż za niekochanego człowieka, pustelnik znajduje dla niej takie wyjście: otrzyma ona od niego specyfik, dzięki któremu na jakiś czas zapadnie w sen podobny do śmierci; w przekonaniu, że umarła rzeczywiście, pochowają ją rodzice w rodowym grobowcu; Romeo, który na razie znajduje się w innym mieście, otrzyma przez zaufanego człowieka wiadomość o jej pozornej śmierci, przybędzie potajemnie i, przebudzoną ze snu, uniesie. To, co o. Laurenty zaleca Julii, wcale nie jest błahe. Jego specyfik zawiera w sobie poważne ryzyko życiowe. Przed wypiciem zaleconego jej płynu widzi Julia komplikacje, jakie mogą zająć. Cóż będzie, jeśli — złożona w grobie — przebudzi się zanim nadejdzie Romeo? Przecie, przebudzona za wcześnie, może: 1. umrzeć ze strachu, 2. umrzeć zaduszoną wzięwami trupów, 3. postradać zmysły z przerażenia, 4. w obłądzeniu może nawet targnąć się na swe życie. Zachodzi jednak komplikacja inna. Wynika z natury specyfiku, wynika z natury całego planu pustelnika, z jego nieuwzględnienia złożoności samego życia. Bo nie udało się powiadomić Romea o planie fikcyjnego zgonu Julii, a jeden ze świadków jej pogrzebu mówi mu o niej jako o zmarłej. Nieprzewidziana sytuacja życiowa sprawiły, że Romeo staje u grobu Julii przekonany, że ona umarła rzeczywiście i odbiera sobie życie... kilka chwil przed jej przebudzeniem się. Przebudziwszy się i stanawszy nad trupem Romea, odbiera sobie życie także Julia. Tak ginie para młodych postępowców.

Jakżeż mógł o. Laurenty polecać specyfik, ryzykowny nie tylko ze względu na możliwość przyprawienia o śmierć tego, kogo miał tylko uspić, ryzykowny jeszcze ze względu na niszczycielskie powikłania, jakie mógł spowodować, nawet gdyby jego usypiające działanie odbyło się w sposób przewidziany? W długim monologu wypowiedzi o. Laurenty kilka myśli, u których podłoża drga filozoficzny niepokój. Dobro i zło pojawia się w jego poglądach — obciążone względnością skutków. Dobro nie zawsze prowadzi do dobrego, a zło nie zawsze do złego. Cnota, że zastosowana, obraca się w występki, a występki może poprzez swe dalsze działania mieć następstwa zaszczytne. Już sama ziemia ukazuje dwoistość, jest matką, która karmi, ale jest też siedliskiem grobów. Ziolo, jako wyrosłe z ziemi, ma w sobie składniki leczące, ale i trujące, ma ono moc przyniesienia niezwykłych pożytków, ale realizowanie tych pożytków może czasem stać się nadużyciem. Czy taka filozofia pozwalała o. Laurentemu tak działać jak działał? Nie. Przecie przyjmując, że dobro tak łatwo może przejść w zło, że cnota może obrócić się w występki, że zło przy wykorzystaniu jego dobrodziejskich składników może podzielać niszczycielsko, powinien był być ostrożniejszy w zalecaniu ryzykownego specyfiku, w ogóle w dawaniu zbawienych rad. Otóż ten pustelnik działa niezgodnie ze swą filozofią. Działaniami swymi zaprzecza swą filozofię.

Mimo własnych wątpliwości nie chce mieć wątpliwości wobec tych, którzy wierzą w jego wiedzę mędrca. Wobec wiernych uważa za swój obowiązek wszystko wiedzieć, umieć z każdej sytuacji znaleźć wyjście. Chce uchodzić za niezawodnego doradcę, do którego wierni mogą zgłaszać się w każdej trudnej sprawie z nadzieją otrzymania najlepszej rady.

Jeśli jego rada doprowadzi do następstw zgubnych, zwali przyczynę nie na siebie, lecz na Boga. Tak czyni, gdy w końcowych słowach tragedii mówi: „Siła, silniejsza od nas, zburzyła nasz zamysł”. Zresztą nie liczy się zbyt zbytnio ze zgubnymi następstwami swych rad, bo jego koncepcja życia pozwala mu życia nie cenić. Mówi o radościach, że umierają, gdy zwyciężają, a w pocałunku widzi obok ognia popiół. Znikomość radości i nieważność zadowolenia ziemskich — to jest jego stosunek do spraw ludzkiego życia. Przemawia i działa przez niego średniowiecze. Reprezentuje on świat stary, ten świat, przeciw któremu zwrócili się wicherzy Renesansu.

Dwoistość, jaka jest w o. Laurentym, to zasadniczy problem aktorski przy stawianiu tej postaci na scenie. Wątpiący, skromny, gdy jest sam ze sobą, wobec ludzi dźlerzy wysoko mądrość niezawodną. Oto komplikacja i trudność, przed jakimi staje tu aktor.

Przyczynę tragedii werońskich kochanków widziano rozmaicie. Dla jednych było nią przeznaczenie, dla innych nierozważna młodzienczość, dla jeszcze innych niemoralne drogi kłamstwa, a znaleźli się i tacy, którzy dobrodusnie za przyczynę tragedii uważali... nieposłuszeństwo rodzicom.

Niechże dopowiem swoje. Julia i Romeo nie są całkowicie ludźmi nowych idei. Dwa razy ulegają siłom starym, raz tym, które reprezentuje mamka, drugi raz tym, które reprezentuje duchowny. Sprzeniewierają się sobie. Są połowiczni. I to właśnie — w oczach trzydziestoletniego Szekspira — decyduje o ich losie, kreśli linię ich nieszczęścia, linię ich tragedii.

Kujbyszew, 1942.

Tadeusz Peiper

## Z BALETU MOJSIEJEW



rysowała Jadwiga Maziarzka

\*) W szkicu pt. „Stary mąż młodej żony” („Czas”, 1933).



STEFAN PĄPĘ

# Młodzi nauczyciele mówią o swym życiu i pracy

W Zakopanem, w szkole powszechnej nr 1, panuje wielkie ożywienie. Na kurs wakacyjny dla niewykwalifikowanych nauczycieli zjechało aż 74 uczestników. Przeważają młode nauczycielki. Wśród uczestników kursu znaczna większość ma niewiele po dwudziestce, są jednak i „seniorzy” po trzydziestce, a nawet po czterdziestce. Przygotowanie do zawodu też jest bardzo rozmaite. W zasadzie wszyscy mają ukończone cztery klasy gimnazjalne, ale jedni zdali tę małą maturę dopiero niedawno, inni jeszcze przed wojną, a są i tacy, którzy już zdążyli zapomnieć, co było przedmiotem egzaminu, a nawet, kiedy go zdali. Według regulaminu uczestnicy kursu zakopiańskiego mają mieć już za sobą co najmniej półroczną praktykę nauczycielską i ukończony kurs wstępny pedagogiczny. Praktykę rzeczywiście mają prawie wszyscy, gorzej natomiast jest z ukończeniem kursu wstępnego. Część jest w ogóle bez kursu i poszła uczyć wprost na podstawie ukończenia 4 klas gimnazjalnych, część ukończyła tylko 6-tygodniowy wstępny kurs w Kielcach, inni mają za sobą 4-miesięczny kurs wstępny w Jordanowie, Krakowie czy Sosnowcu, poważną część ukończyła 6-miesięczny kurs w Krakowie czy w Zakopanem. Całą tę różnorodną gromadkę nauczycielską podzielono na dwie klasy, oddano ją w opiekę profesorom liceów pedagogicznych z Krakowa i Zakopanem i rozpoczęto 3-tygodniową pracę lekcyjną, urozmaiconą wycieczkami w Tatry, wieczorami dyskusyjnymi, wieczornicami. Nad całością prac dydaktycznych czuwa dyrektor Liceum Pedagogicznego z Krakowa dr Władysław Szczygiel, sprawy gospodarcze prowadzi energicznie prof. Hieronim Sartowski.

## ANKIETA ORIENTACYJNA

Zaraz w pierwszy dzień zajęć szkolnych zorganizowano na kursie ankietę, zawierającą 12 pytań, dotyczących korzyści, jakie dał nauczycielom wstępny kurs pedagogiczny, warunków, w jakich odbyli swą pierwszą praktykę nauczycielską i doświadczeń nauczycielskich z prac nad młodzieżą i nad sobą.

Odpowiedź na ankietę dało 64 uczestników kursu, obecnych w pierwszym dniu zajęć. Ankieta była bezimienna. Odpowiedzi pisano w ciągu dwóch godzin szkolnych, wypowiadając się szczerze, dość szczegółowo, bardzo interesująco, choć trafiały się, może z pospiechu, stylistyczne usterki, a nawet błędy ortograficzne. Materiał, zebrany z ankiety, na życzenie władz posłany będzie do wglądu najwyższym instancjom szkolnym, zawiera on jednak również tak żywe i interesujące wypowiedzi na temat warunków, w jakich żyje i pracuje młody nauczyciel, że dowiedzieć się o nich powinien koniecznie i szeroki ogół społeczeństwa.

## JAK BYŁO NA WSTĘPNYM KURSIE PEDAGOGICZNYM?

Młodzi nauczyciele oceniają wstępny kurs pedagogiczny pozytywnie. Tylko jeden z uczestników pisze, że nie odniósł z niego żadnych korzyści. Większość zawzięta wstępnemu kursowi „przypomnienie dawnych wiadomości i podstawowe wskazówki pedagogiczne”, część akcentuje, że to nie było tylko przypomnienie, ale zdobycie podstaw do dalszej pracy. 11 określa korzyści jako „duże”, 9 jako „bardzo duże”. „Osem lat nie miałem nic z książką do czynienia” — pisze jeden. „Kurs dopomógł mi otrząsnąć się z uśpienia umysłowego” — wyznaje inny. „Kurs zmienił gruntownie mój pogląd na pracę nauczyciela” — oświadcza trzeci. „Korzyści moralne odniosłem ogromne” — mówi czwarty. „Zaprawiłem się do pracy umysłowej — podaje inny — i poczułem potrzebę ciągłego pogłębiania swych wiadomości”.

Poszczególne narzekają, że kurs dał im za mało wiadomości z niektórych przedmiotów, nie nauczyli się na nim potrzebnych sprawności w administracji szkoły, nie wiedzieli jak prowadzić dziennik lekcyjny, jak podzielić materiał nauczania na tygodnie, to znów nie dawali sobie rady w klasach połączonych, czy z tak zwanymi dziećmi „trudnymi”.

Dlatego na pytanie, co należałoby na tych kursach wstępnych polepszyć, padają przeważnie odpowiedzi, że należy na nich dawać więcej lekcji pokazowych w ćwiczeniówce, szerzej przerabiać sam materiał nauczania szkoły powszechnej, większy nacisk położyć na praktykę, na nabycie umiejętności np. w wykonywaniu pomocy szkolnych, w prowadzeniu świetlic, bibliotek, teatrów szkolnych itd.

## W JAKI SPOSÓB ZDOBYŁEM POSADĘ NAUCZYCIELSKĄ?

Na 64 odpowiadających na to pytanie 48 otrzymało zajęcie bez żadnej zwłoki, drogą służbową, bo przecież posad nauczycielskich

wolnych jest bardzo wiele i inspektoraty czekają niecierpliwie na kandydatów. Trudności zaczynają się dopiero tam, gdzie ktoś ubiega się o odpowiadające mu z tych czy innych względów właśnie to, a nie inne miejsce. Wtedy najczęściej spotyka kandydata zawód, zwłaszcza, gdy ubiega się o posadę nie na wsi, lecz w mieście, albo w ruch idą protekcje, w 7 wypadkach, jak się okazało, skuteczne.

## NA PIERWSZEJ POSADZIE NAUCZYCIELSKIEJ

Pierwszą przykrość i czasem wielkie rozgoryczenie przynosi sprawa mieszkania. Szczęśliwi, którzy pracują w takiej wsi, że mogą mieszkać przy rodzicach. Jest ich tylko 8 na 64. Do uprzywilejowanych należą mieszkający w szkole. Jest ich 17. Nie płacą nic, albo bardzo mało za mieszkanie, za opał, za światło i mogą żyć znośnie. Większość zmuszona jest, niestety, wynajmować mieszkanie na wsi, a wtedy czynsz najniższy wynosi 80 zł., najczęściej rośnie do 100, 150 i 200 zł miesięcznie, a nawet w jednym wypadku dochodzi aż do 400 zł. Jak tu tedy związać koniec z końcem? W jednym tylko jednym wypadku „czynszu gospodarz za pokoik ładny, ciepły — nie przyjął”. Wielu narzeka, że musiało z pensji nauczycielskiej przeprowadzać kosztowny remont, że pokoiki wynajęte są ciemne, wilgotne, zimne, pełne myszy, opał straszliwie drogi, gospodarz przykry, grozi eksmisją, światło tyle kosztuje, że trzeba siedzieć po ciemku itd. Sprawa mieszkań, w której gmina powinna przeciw iść na rękę nauczycielstwu, jest dla wielu prawdziwą zimą i udręką. Piszą o niej nauczyciele z żalem i z gniewem. Jeden w zapale układa nawet zdanie tak niezręcznie, że dowiadujemy się niespodzianie: „Mam mieszkanie jednoizbowe, z piecem kuchennym, w którym mieszkają jeszcze dwie osoby...”.

Dwoje dochodzi do szkoły pieszko 4 km, jeden z nauczycieli idzie 6, inny 7, jeden wyjeżdża rankiem pociągiem i od stacji musi iść jeszcze 5 km. Ile tu straty, niepotrzebnie, czasu i energii, ile szluznego rozgorzyczenia na niedbalstwo i obojętność władz administracyjnych, które przyczyniają się do tak zawiłych komplikacji życiowych.

Płaca nauczycielska wynosi w X grupie uposażeń zaledwie 1050 zł. Czemuż umniejsza się ją jeszcze tak dotkliwie niewspółmiernie wysokimi wydatkami na mieszkanie?

Z tą płacą też nie wszystko jest w porządku. Ma być obecnie zwiększona. Chwała ministrowi! Wiemy jednak dobrze, że nie może być jeszcze tak zwiększona, aby odpowiadała prawdziwym potrzebom nauczycielstwa. Niechże więc będzie przynajmniej regularnie wypłacana. Tymczasem na 64 nauczycieli regularnie otrzymuje ją tylko połowa. Inni narzekają na kilkunastodniowe opóźnienia, a nawet kilku musiało czekać na wypłatę po kilka miesięcy. Czasami płatnik jest tak daleko od szkoły, że jazda po pensję kosztuje aż 200 zł. Czy naprawdę nie można tej manipulacji przeprowadzić taniej?! Jedna z nauczycielek pisze: „Ograniczam swoje potrzeby życiowe do normy płacy”. Od innej dowiadujemy się jak takie „ograniczenie” wygląda: „jadam tylko kartofle”, „ograniczyłam — pisze inna — obiad, zjadając go raz na trzy dni”, „jadam obficie — pisze inna — tylko raz na tydzień”.

Najlepiej radzą sobie ci, którym pomaga rodzina. Takich jest 15. „Po żywność chodzę co sobotę do rodzinnej wioski 10 km w jedną stronę” — chwali się jedna z nauczycielek. Cóż robić jednak ci, którym rodzina nie pomaga, czy pomoc nie może? Dorabiają, jak mogą, aby żyć.

Prawie połowa utrzymuje się głównie z prywatnych korepetycji. Inni zarabiają na kursach dla dorosłych, w świetlicy, na poczie, w urzędzie gminnym, handlują, organizują kursy życia, trykotarstwa.

Dzień pracy wynosi wtedy kilkanaście godzin. Prawie wszyscy mają przecież obowiązujących 30 godzin lekcji tygodniowo, liczba nadobowiązkowych waha się od 2—18 tygodniowo. Do nich doliczyć trzeba jeszcze dzień kilka godzin na przygotowanie się do zajęć szkolnych. Młodzi nauczyciele zgłaszają, że 21 przygotowuje się co dzień do lekcji 2 godziny, 17 zużywa na ten cel po 3 godziny, 9 pracuje od 4 do 6 godzin dziennie, zwłaszcza, jeśli uczy w pierwszych klasach, bo aż tyle czasu wymagają od nich konkrety, które trzeba samemu wykonać. Reszta przyznaje się, że w ogóle na przygotowywanie się do lekcji nie ma czasu i idzie do klasy „na improwizację”, z „wyrzutami sumienia”, z „lękiem” i „niesmakiem”.

## KTO UDZIELA MŁODEMU NAUCZYCIELOWI POMOCY?

Na to pytanie 25 odpowiada, że pomoc znajduje przede wszystkim, tak jak być zresztą powinno, u kierownika szkoły. Jest to najczęściej pomoc metodyczna, życzliwa porada,

wskazówka, dostarczenie podręczników, czasami drobne ułatwienia życiowe, zdarza się nawet pomoc materialna. 20 stwierdza, że kierownik szkoły zawiodł nadzieje. Okazał się człowiekiem zgorzkniałym, chorym, przemęczonym, często dziwkami, nieukiem, a nawet w kilku wypadkach „szabrownikiem”, który dla młodych sił wymyślał tylko zastępstwa, aby sam mieć szersze pole do szkodliwej działalności. Dla wielu kierownik był tylko obojętnym świadkiem pierwszych walk życiowych.

Starsi koledzy w 20 wypadkach odnosili się do młodszych życzliwie, służąc im radą, pomocą, zachętą. W 15 wypadkach byli zupełnie obcy, jakby „nieobecni”. Zdarzało się jednak również, że odnosili się do kolegów o niepełnych kwalifikacjach z lekceważeniem, nawet z pogardą, narzekając na „obniżanie powagi nauczycielskiej”, „kompromitowanie stanu”, dokuczając im „współczuciem”, że również wybrali ten „żebaczy” zawód.

18 nauczycieli w czasie swej służby nauczycielskiej nie widziało inspektora szkolnego w ogóle na oczy. Dla kilku zdobył się inspektor tylko na niewiążące obietnice i upokarzające pociechy. 23 podkreśla dodatnią rolę inspektora szkolnego, który potraktował pracę młodych nauczycieli życzliwie, służąc pomocą, radą, wskazówkami, stwarzał w szkole odpowiednią atmosferę współpracy wszystkich, interesował się postępami, był „wyrocznią i drogowskazem”.

Prawie wszyscy nauczyciele mówią serdecznie o stosunku rodziców dzieci do ich pracy. Okazywano im zainteresowanie, życzliwość, szacunek, czasami nawet serdeczność, wdzięczność, a nawet pomoc materialną. W jednym wypadku komitet rodzicielski na wsi wypłacał nawet drugą pensję nauczycielom. Odważając się za serce i pomoc młodzi nauczyciele chętnie dopomagali wsi w jej życiu kulturalnym. Tylko dwoje nauczycieli pracujących na Spiszu narzeka, że pod wpływem agitacji słowackiej rodzice okazują niechęć polskiemu nauczycielowi.

Stosunek młodego nauczyciela do młodzieży, w świetle ankiety, jest prawie wszędzie nie tylko poprawny i życzliwy, ale nawet serdeczny, a czasami wprost entuzjastyczny.

„Młodzież była największą pociechą w mej pracy” — wyznaje jeden.

„To mnie wstrzymało tylko od rezygnacji” — notuje drugi. „Dzięki młodzieży pracę swą polubiłem”. „Pracuję z powołania, z pełnym poświęceniem dla dzieci” — dodaje inny. „Dla dobra młodzieży wiele zniosę” — oświadcza krótko ktoś z rozgorzconych.

Widać z ankiety, że większość młodych nauczycieli jest na dobrej drodze, bo kocha młodzież, pragnie dla jej dobra pracować i z miłości do dzieci wytrwa.

## PRACA MŁODEGO NAUCZYCIELA NAD SAMYM SOBĄ

Nauczyciele bez pełnych kwalifikacji powinni je osiągnąć w ciągu najbliższych trzech lat, nie przerywając swej pracy nauczycielskiej. Przewiduje się, że znajdą dostateczną liczbę godzin dziennie, aby móc się kształcić samodzielnie, od czasu do czasu komisja wzywa ich na lekcje okresowe, trwające dzień czy dwa, w czasie wakacji przewidziane są zajęcia kilkutygodniowe.

Rzecz pomyślana jest realnie. Niestety brak czasu staje na przeszkodzie w realizowaniu planu. 16 nauczycieli odpowiada wprost — „nie miałem nic czasu na samokształcenie, nie przerobiłem nic, nie czytałem nic”. Większość żali się, że czasu na pracę nad sobą było bardzo mało. Uczyli się więc najczęściej późno w noc, w święta, w wakacje. „Ucząc się sama zadanych lekcji — notuje jedna — skrzywdziłabym szkolne dzieci, bo dla nich muszę mieć przede wszystkim czas”. Brak podręczników, nawet skryptów, utrudniał też samokształcenie. Zaledwie dwoje zdołało piśmiennie odpowiedzieć na wszystkie, zawarte w dostarczonych przez komisję skryptach, zadania. Reszta, jeżeli już coś zrobiła, to zaledwie fragmenty z poszczególnych przedmiotów.

Lecje okresowe komisji oceniane są przez znaczną większość pozytywnie. „Wytoczyły one drogę”, „zorientowały w materiale nauczania”, „dały dobre informacje” — piszą młodzi nauczyciele. Bardzo wielu, bo aż 18, nie mogło z nich korzystać, bo zawiadomienia o terminie lekcji przychodziły z inspektoratu z reguły z wielkim opóźnieniem. Czy i ta sprawa nie mogłaby ulec poprawie?!

Młodzi potrzebują tych „podniet”, „bodźców”, „zachęt”. Tylko 2 osoby twierdzą, że

z prac komisji nie miały żadnych korzyści, dalsze 2 zauważają, że te spotkania z komisją tylko je zniechęcały, bo pouczyły, ile jest jeszcze do zrobienia. Jedna z osób motywuje niezwykle pożytek komisji w ten sposób: „Komisje rejonowe podniosły mnie na duchu, gdy stwierdziłam, że nie jestem samotna w swym „wykolejeniu wojennym”, że cały zastęp ludzi pracuje jak ja, marząc o uzyskaniu godności pełnoлюдzkich”.

Większość spodziewa się wiele pożytku naukowego po kursie wakacyjnym w Zakopanem. Cieszy się z możliwości spokojnej na nim pracy, z przerobienia materiału egzaminacyjnego z pomocą profesorów, wielu liczy na koleżeńską atmosferę, za którą tak w samotności swej tęskniło, cieszy się z możliwości intelektualnego wyciszenia, wielu akcentuje z wdzięcznością zorganizowanie przez władze szkolne kursu właśnie w Zakopanem, co pozwoli poznać piękno Tatr, dwoje przyznaje się szczerze, że największą dla nich atrakcją kursu jest nadzieja — odżywienia się.

„Oby ten kurs trwał co najmniej 6 miesięcy” — marzy jeden z uczestników. Wszyscy pragną zdobyć patent dojrzałości w terminie jak najszybszym, bo dokuczają im zmora ciągłych egzaminów i obowiązku dokształcania się przy tylu innych zajęciach.

## ZMĘCZENI, ALE ZAWIĘCI

Lektura odpowiedzi na ankietę daje ogólne wrażenie ogromnego przemęczenia młodego nauczyciela. „Jakże jestem zmęczona”, „Jestem bardzo zmęczona i nerwowa”, „Chciałabym porządnie pracować, ale już doprawdy nie mogę” — czyta się raz po raz.

„Ja tak chcę żyć i pracować dla przyszłości Ojczyzny, a mam tyle trudności” — spowiada się nauczycielka.

Znaczna większość, i to jest w odpowiedziach ankiet najcenniejsze, nie daje się zrazić trudnościami, lekceważeniu, nędzy. „Chcę wytrwać na objętej placówce i pokazać „światu”, że jednak nie jest tak źle” — deklaruje się jeden z wicel. „Pracuję z poświęceniem, aby społeczeństwo nasze było na koniec światłe” — pisze inny. „W tym roku nabrałam już wprawy, teraz pójdzie łatwiej” — pociesza się inna.

Większość żalów płynie jedynie z przekonania, jakże słusznego, że na niedolę nauczyciela w dużej mierze składają się nie tylko zrozumiałe trudności zrujnowanego przez wojnę Państwa Polskiego, ale i nieporadność i czasem zła wola kierownika szkoły, inspektora, władz administracyjnych. Słusznie wola jeden z kursistów: „Ileż np. władze gminne, w drobnych przynajmniej rzeczach, mogłyby pomóc do poprawy bytu nauczyciela!” Skarżą się nie z nawiąku, ani z opozycji, żalą się głównie dlatego, bo te trudności tamują ich rozwój i rozwój szkoły. „Małe pensje nauczycieli — zauważa jeden — nie pozwalają na kupno książek, zajęcia domowe i zarobkowe nie pozwalają na pogłębienie wiadomości, dlatego, niestety, jest tyle ludzi nieinteligentnych między nauczycielami, tyle ciemnych umysłów”.

„Oby Państwo nasze — marzy inny — mogło w niedługim czasie skończyć już z kursami pedagogicznymi, a zaczęło na wielką skalę regularne kształcenie nauczycieli, bo myśl o egzaminach i braku kwalifikacji rozprasza podczas pracy zawodowej i źle wpływa na samopoczucie nauczyciela”.

Mam prawo wierzyć po przeczytaniu wszystkich odpowiedzi ankiety i po omówieniu jej na wieczorne dyskusyjnym z młodymi kolegami, że z większości kursistów szkoła polska będzie miała rzetelny pożytek. Mimo bowiem przeszkód, mimo trudności, zmęczenia i zawodów, pragną wytrwać, iść ciągle naprzód i z zapałem służyć doniosłej sprawie.

Stefan Papę

Ostatnia nowość!

KRYSTYNA FUZAKOWSKA  
MIEJSCE WŚRÓD LUDZI

Str. 150

Zł. 180—

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Nakład:

„OFICyna WYDAWNICZA”  
Katowice, ul. Młyńska 2

Tę. 366-87 i 334-85

P. K. O. III/4040



## JULIAN PRZYBOŚ

## Temat malarski

Zdawało się, że przed wojną zwalczono ostatecznie wśród naszej inteligencji zwiędzającą wystawę przesąd o hierarchii tematów w malarstwie. Przecież już Stanisław Witkiewicz stawiał wyżej dobrze namalowaną główkę kapusty od kiepskiego obrazu o temacie historycznym.

Czy z tego wynika, że dobrze namalowany „Batory pod Pskowem“ tylko dorównałby dobrze namalowanej główce kapusty, lecz że by jej, jako dzieła sztuki malarskiej, nie przewyższył? Sprawa wruszeń postronnych, jakie daje temat obrazu, jest sporna; są one obiektywnie niesprawdzalne. Skojarzenia, jakie naniósł sceny historyczną przedstawioną w „Batory pod Pskowem“, mogą na podobieństwo akompaniamentu — wzmocnić, lub jak turkot wozu za oknami sali koncertowej — zgłuszyć główny śpiew kolorów i form. Namalowana główka kapusty może przywołać wrażenia z pachnącego ogrodu lub ze śmierdzącej kuchni.

Estetyka nowoczesna bada dzieło jako przedmiot wymierny, obiektywnie istniejący, a nie jako nieokreśloną mgławicę obudzonych przez nie skojarzeń. Nie te wrażenia, uczucia i myśli są ważne i nie te się liczą, które odbiorca dzieła sztuki przeżywa, lecz te, które powinien przeżyć. W istocie tematy „wielkie“, sceny batalistyczne, religijne, obrazy alegoryczne — stanowią dla dzisiejszego kontemplatora malarstwa — raczej przeszkodę, na którą zwraca uwagę o tyle tylko, o ile forma obrazu nie tłumaczy się sama przez się; a więc robi to wtedy, gdy obraz jest niedoskonały. Ta raczej przeszkoda w patrzeniu na obraz, jako na dzieło plastyki, staje się dla naiwnego widza tym wszystkim, co z obrazu bierze, staje się, by tak rzec, ułatwieniem niewrażliwości na to, co jest wartością artystyczną w obrazie; bywa więc wtedy odwróceniem uwagi od sztuki malarskiej. Treść anegdotyczna w dobrym obrazie bywa dla widza tylko jeszcze jednym potknięciem wymowie malarskiej obrazu; stwierdzamy wtedy, że treść anegdotyczna przemieniła się w malarską.

Czyż możliwe jednak — zapyta ktoś — żeby nie zwrócić uwagi na tajemniczy uśmiech Giocondy, ten uśmiech, o którym napisano tyle poematów? Żeby nie doznać czegoś więcej niż malarstwa, patrząc na obrazy Goi? Wielkie malarstwo wykraczało zawsze poza malarstwo, objawiało... i tu każdy ze wzruszających się tematem wymieni co innego: tajemnicę człowieczeństwa lub tajemnicę absolutu, prawdy ogólne lub kaprys chwili, to lub owo, słowem: wszystkowiedność. Tak, wielkie dzieła sztuki malarskiej, podobnie jak dzieła sztuki muzycznej czy architektonicznej, świadczą o człowieku, ale nie przez to, że człowieka przedstawiają, ale przez to, że poprzez środki przedstawienia czegokolwiek wyrażają swój czas historyczny i człowieka w tym czasie. Ciało człowieka nie uległo zmianie od najstarszych wizerunków rytych dłonią artysty pierwotnego, zmienił się tylko strój. Inaczej niż w literaturze, w której narracja rozwijająca zdarzenia w czasie daje coraz to inne i rozmaite obrazy przemian życia ludzkiego, malarz skazany jest na jedną chwilę, utrwalić może tylko jedną sytuację, jeden wyraz twarzy, jeden kostium. Kto pragnie takiego widowiskowego „humanizmu“, komu chodzi dzisiaj o obrazy z życia ludzkiego, o malarstwo rodzajowe, znajdzie je pod dostatkiem we filmie. O szerokości humanizmu w obrazie świadczy jakość i skala środków rozwiniętych przez malarza, głębia i różnorodność treści plastycznej, bo tylko one zdolne są poruszyć wyobraźnię i serce kulturalnego widza. „Martwe natury“ Cézanne'a nie zawierają mniej treści humanistycznej, niż jego „Łapiące się“, obraz Delacroix „Dante i Wergili“ wyraża o tyle tylko więcej treści, o ile jest formą bardziej skończoną niż tego malarza portret Chopina.

Może to jest mniemanie estety-smakosza, wybrednego „formalisty“, nie uwzględniającego potrzeb estetycznych szerokiach rzeszy? Wszelkie potrzeby estetyczne, jeśli są istotne pragnieniami piękna, winny być zaspokajane. Lecz zbyt często utożsamia się w nawoływaniach do upowszechniania — kulturę estetyczną z rozrywką tłum niedzielnego, głód artystyczny z żądzą emocyj, jakim ulegają widzowie meczu piłkarskiego, amatorzy widowisk cyrkowych czy kinomani. (Dzieła sztuki w filmie są dotychczas rzadkością). Portret Mony Lisz nie dlatego jest arcydziełem, że piękna portretowana dama tajemniczo się uśmiecha, lecz że obraz Leonarda jest genialnym obrazem, szczytowym osiągnięciem sztuki malarskiej swego czasu. To nie tylko Mona Lisa się uśmiecha — to obraz jest szczęśliwym uśmiechem malarstwa.

Napomknę tu jeszcze o przesądzie pokutującym wśród nieoświeconych: że dzieło sztuki plastycznej winno przedstawiać nie tylko piękne formy, ale także piękne przedmioty, a więc człowiek o rysach regularnych, człowiek piękny przedstawiony na obrazie czyni obraz piękniejszym niż człowiek brzydki namalowany przez tego samego malarza z takim samym

talentem. Temu pseudoklasykcznemu przesądowi, zwalczonemu dawno w świadomości ogółu, gdy chodzi o literaturę, ulegają powszechnie zwłaszcza naiwni oglądacze rzeźb. Lecz człowiek z brodawką na nosie może być dla malarza „piękniejszy“, to znaczy nastęrczyć mu bogatszy temat plastyczny, niż twarz o botticellowskim wdzięku. Niewrażliwy na plastykę odrzuci Waliszewskiego, a wybierze Stachewicza. Dlaczego wspominam o tym najgrubszym przesądzie? Bo czai się on podświadomie w ocenie niektórych recenzentów. Gromią oni „deformację“ i „abstrakcję“, przywiązują do kształtów sprawdzanych metrem; reagują na formę malarską nie okiem, lecz jak ślepy — po omacku, jakby zmysłem dotyku.

Te zdawałoby się proste prawdy, które tu podałem w najwięźlejszym skrócie, powinny chyba były przyjąć się w umysłach tych, którzy zawodowo zajmują się ocenianiem dzieł sztuki. Przedwojenna działalność takich teoretyków-malarzy jak Czapski, Strzebiński, St. I. Witkiewicz, ugruntowała, przypuszczać by można, podstawowe zasady patrzenia plastycznego. Lecz jak w dziedzinie literatury stwierdzamy obniżenie się w ciągu wojny poziomu wymagań i zbarbaryzowanie wyobraźni czytelników, tak i — w krytyce i postulatach stawianych malarzom. Wymaga się od artystów, by w szybkości reakcji i wszędobylstwie rywalizowali z kamerą filmową. „Malujcie aktualnie, dajcie obraz przemian historycznych i społecznych, przedstawiając zdarzenia z wojny i pokoju, malujcie ruiny Warszawy, Majdanek i Oświęcim“ — takie i tym podobne wezwania słyszy się z ust wielu.

Nie brzmią one wymowniej niż brzmiałyby np. wezwania, by pracowały obywatel skupił całą swoją uwagę na oddychaniu, bo wtedy praca jego będzie wydajniejsza. Przeżycia społeczne mamy wszyscy wspólne — i przy-

pominanie tego faktu artystom, ludziom szczególnie wrażliwym, jest śmiesznie niepotrzebne. Nie o pamięć, a więc o malowanie takich tematów chodzi — lecz o wielką rewolucyjną ideę plastyczną, o malarstwo, które by odpowiedziało nowym widzeniem na nowy otaczający świat. Cóż z tego, że brгада malarzy wykona zamówienie na tysiąc obrazów, np. na temat „reforma rolna i jej skutki“, jeśli ich wyraz malarski będzie taki sam jak przed reformą rolną?

Czyż więc nie wolno stawiać malarzom żadnych wymagań? Czy nie należy żądać od nich niczego w zakresie tematu i wciąż konsumować ryby i owoce podawane w „martwych naturach“? Wszakże wiemy, że w dawnych wiekach zamawiano u artystów obrazy na określony temat i najwięksi — jak Michał Anioł — malując służyli w ten sposób mecenasom, nie szkodząc swojej sztuce. W epoce demokracji mecenat objęło całe społeczeństwo, ono ma prawo wymagać, bo ono daje zamówienie społeczne.

Co to jest zamówienie społeczne? Termin o nieokreślonej treści, ukuty przez działaczy i przyjęty przez krytyków. Niewątpliwie w łonie ludu drzemia tęsknota za dziełami, które by wyraziły jego wspólne pragnienia. Lecz jak je odgadnąć, jak dać niemiemu ustom pieśń, która byłaby głosem wszystkich, a nie nutką autora? Rozpisać ankietę, przeprowadzić głosowanie ludowe? I istotnie — na taki pomysł wpadł już jakiś urzędnik w Warszawie: projektował, by o nagrodzie na ostatnim salonie zadecydowało głosowanie powszechne zwiedzających. U wyjścia miała stać urna, do której każdy opuszczający wystawę wrzucałby kartkę z nazwiskami artystów, zasługujących zdaniem zwiedzających na nagrodę. Ten na pozór demokratyczny pomysł urzędnika kultury nie doszedł na szczęście do skutku. Można z góry przewidzieć, jak wypadłby taki plebi-

scyt: zwycięstwo odnieśli by jacyś żyjący Słachewicze.

Jeśli więc przez głosowanie niełatwo odkryć wolę artystyczną ludu taką, która godna by była tęsknot żywionych przez artystów — to może o zamówieniu społecznym winni by stanowić działacze i przywódcy społeczeństwa?

Nie brak w Polsce mentorów pouczających i strofujących artystów. Nie są oni groźni dla sztuki dopóty, dopóki nie posiadają władzy. Łatwo zdemaskować pustkę propagandy nawołującej do malowania „bytu fizycznego przedmiotów“, albo „ducha wspólnoty na płaszczyźnie odbudowy“ — ale sytuacja może stać się groźna, gdyby agitacja przeciw nowoczesnemu malarstwu znalazła posłuch u tak zwanych czynników miarodajnych. Miarodajny führer ocenił sztukę impresjonistyczną i współczesną jako bolszewizm i degenerację i narzucił milionom swój gust kołtuna. W okresie sanacji nie ustawała paplanina o „sztuce rodzimej“ wolnej od obcych wpływów, o malarstwie „narodowym“, co to, jak deklamowano z emfazą, ma czerpać z podgłębia, z korzeni, z praźródła. Takie pęcherze słowne nie zwróciłyby niczyjej uwagi w kraju o ugruntowanej kulturze plastycznej, lecz w Polsce, o tak wątej tradycji malarskiej — ich wydęta pustka może łatwo stać się demagogicznym sloganem. Znowu grozi niebezpieczeństwo „hucułów narodowych“ i tej artystycznej tromtadacji, która kwitła w okresie stryżęjszczyzny i wszelakich bractw lukaszowych.

Mam w żywej pamięci przemówienie pewnego dygnitarza w Krakowie, dokąd zjechał, by zetknąć się z przedstawicielami sztuki. Na czarnej kawie (było to bodaj że jeszcze przed zakazem bankietowania) palnął do malarzy, literatów i muzyków mówkę, w której wzywał do dźwignia sztuka wzywaj na płaszczyźnie reformy rolniej. Wniosek z exposé brzmiał, jeśli chodzi o malarstwo, tak: „Bierzcie sobie przykład z żołnierza polskiego. Żołnierz to bohater, oddaje życie za ojczyznę — tak i malarz powinien poświęcić to piękno i te dotychczasowe obrazy, powinien malować po prostu, tak dla chłopów“. Na szczęście ten urzędowy nawoływacz do samobójstwa artystycznego poszedł zaraz w zasłużoną odставку. Któż jednak zaręczy, że podobne wyobrażenia nie snują się w jakiejś urzędniczej głowie siedzącej w którymś z gabinetów ministerialnych?

Owszem, można się zgodzić na to, żeby państwo, sprawując mecenat nad sztuką, rozkazywało artystom i rządziło ich twórczością, ale pod jednym warunkiem: żeby rządzili Warszyciowicze Wspaniali.

Ale il Magnifico był jeden w dziejach, a pretensjonalnych mentorów legion. Artyści — nawet wtedy gdy ulegali ich mecenasostwu — tworzyli wbrew ich pretensjom, wywodząc z głębi swego doświadczenia i szczytu swojej wrażliwości dzieła, które odpowiadają w zgodzie z historią coraz inaczej na odwieczne zamówienie społeczne: na powszechny głód piękna.

Julian Przybóś

## W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH\*)

## Ankieta „Odrodzenia“

Leon Babiński: Lata wojny spędzone na zapadłej wsi, z dala od materiałów naukowych, w atmosferze „zaprzeczenia“ wszelkiego prawa, nie dają mi możliwości kontynuowania pracy naukowej w moich specjalnościach (prawo międzynarodowe prywatne, prawo transportów lotniczych i morskich, prawo narodów). Powstałe warszawskie przyniosło mi w rezultacie zniszczenie moich materiałów naukowych. Z czasu wojny mam jedynie w rękopisie garść wspomnień osobistych oraz materiały kronikarsko-pamiętnikarskie itp. — Może kiedyś po ostatecznym opracowaniu będę je mógł ogłosić drukiem.

Po podjęciu w roku 1945 działalności naukowo-pedagogicznej na nowym dla mnie terenie Uniwersytetu Poznańskiego czekają mnie obecnie następujące zadania wydawnicze: a) publikacja, w zależności od decyzji Fundacji Carnegie'go, przypadkowo ocalałego rękopisu wykładu mego z roku 1939 w Akademii Haskkiej Prawa Międzynarodowego pt. „Le droit international de la paix“; b) nowe wydanie „Zarysu prawa międzynarodowego prywatnego“; c) podręcznik „Teoria i praktyka służby konsularnej“. Pragnąłbym się skoncentrować na powyższych sprawach, ale nie przesądzać, czy tematy zagadnień prawnych międzynarodowych nie odwrą mnie od wskazanych wyżej prac nad przygotowaniem podręczników.

Stanisław Bac: Mam gotowe do druku następujące rozprawy, które ukażą się w „Pamiętniku Puławskim“: Ruchy warstw gleby wskutek zmrzania i tania, Parowanie wilgoci gleby na podstawie badań lizymetrycznych. Pracuję obecnie nad zagadnieniem przemieszczania gleb na zboczach uprawnych. Pragnę wydać instrukcje i opracowania popularne z zakresu wodnictwa rolnego i meteorologii rolniczej.

Henryk Batowski: Pracy naukowej mogę obecnie poświęcać niestety niewiele czasu. Obowiązki społeczne i organizacyjne na stanowisku zastępcy przewodniczącego Prezydium Komitetu Słowiańskiego w Polsce, oraz redaktora miesięcznika „Życie Słowiańskie“, absorbują mój czas w ilości nadmiernej, jeśli się zważy, iż wymagają one trzytygodniowego miesiąca wędrowania między Warszawą i Krakowem oraz wyjazdów do innych państw słowiańskich. Tylko częściowo ratuję sytuację fakt napisania przeze mnie w czasie wojny ośmiu prac z zakresu najnowszych dzieł Słowiańszczyzny i krajów bałkańskich — nie wiadomo jednak, która z nich kiedy doceka się wydania. Także ostatnie dwa rękopisy przedwojenne z tegoż zakresu (o dyplomacji Rządu Narodowego 1863-4, i Repertorium traktatów dotyczących Półwyspu Bałkańskiego) na razie nadal pozostają tylko rękopisami. Obecnie jest w druku jedynie rzecz pt. „Współpraca słowiańska“ (przeгляд najważniejszych zagadnień), a w najbliższym czasie wyjdzie „Rozwój idei słowiańskiej w Polsce“ z dołączonymi wypisami. Przygotowuję podręcznik dzieł narodów słowiańskich, którego skróty popularny ukażą się w br. nakładem Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych. Stosunkowo wiele czasu poświęcę także obecnie pracy przy tworzeniu przyszłego Instytutu Słowiańskiego w Polsce, jaki ma powstać w niedługim czasie w Warszawie oraz organizacji współpracy historyków słowiańskich, dla której to współpracy da się uzyskać pewne kontakty nawiązane w czasie mego ostatniego pobytu w Moskwie w związku z odczytaniem, jaki wygłosiłem w Sekcji Słowianoznawstwa Instytutu Historii Akademii Nauk ZSRR. Pragnąłbym też wznowić prace nad wielkim wydawnictwem pn. „Słownik Starożytności Słowiańskich“, niedługo zapoczątkowanym we Lwowie przez prof. Fr. Bucjaka. Dla myśli tej uzyskałem pełny akces obyczajny na mój wspomniany odczyt uczonego radzieckiego. Planowana jest w tym celu specjalna konferencja historyków słowiańskich.

Witold Jakóbczyk: 1) Ukończyłem naukowo-popularną pracę o Karolu Marcinkowskim. 2) Mam w rękopisie popularną historię Stanów Zjednoczonych A. P. napisaną w obozie jenieckim na podstawie nowych, wojennych opracowań amerykańskich. 3) Planuję popularny zarys dzieł byłego zaborcy Pruskiego (1815-1914). Na dalszą metę zamierzam gruntowne studium nad dziełami byłego zaborcy Pruski, jako walką o duszę polską.

Tadeusz Kurkiewicz: Wykańczam „Zarys Historiologii Ogólnej“. Książka ta ukaże się prawdopodobnie w druku we wrześniu lub październiku br. Jednocześnie przygotowuję rozprawę na temat budowy

ciałek nasiennych i w przyszłym roku szkolnym zamierzam drukować tłumaczenia z uzupełnieniami książki Kollera o hormonach.

Michalina Mossocowa: Przystępuję obecnie do nowego, dziewiątego wydania mojej książki dla młodzieży „Z dawnych czasów“, obejmującej opowiadania historyczne począwszy od czasów najdawniejszych aż do chwili obecnej.

Nowe wydanie, uzupełnione i poprawione, przygotowane do druku przed wojną — spłonęło w powstaniu warszawskim. Teraz więc trzeba je całe przerobić, uwypukić walkę z Niemcami, która krwawą wstęgą przewija się przez cały tysiąc lat naszego państwowego i narodowego bytu i opowiadaniem z czasów ostatniej wojny i upadku naszych gniebieli dać syntezę naszych dążeń i wysiłków. Opowiadaniem o bohaterskiej śmierci mego syna, który w charakterze lekarza batalionowego zginął w partyzantce, chcę zakończyć moją pierwszą książkę, którą pisałam jako młodzianka dziewczyna — i zarazem zakończyć moją działalność literacką.

Antoni Peretlatkiewicz: W najbliższym czasie ukaże się nowe wydanie mojej książki „Państwo współczesne“, która przed wojną miała 7 wydań i także obecnie może się przydać młodzieży studiującej.

Poza tym przygotowuję większą pracę na temat „Nowożytnie doktryny polityczne“, ponieważ przedmiot ten nie jest opracowany w literaturze polskiej, ani w literaturze europejskiej.

Marzeniem moim (niełatwym do zrealizowania) jest pojechać do Genewy i popracować w „Archives J. J. Rousseau“ w celu przygotowania nowego wydania mojej pracy pt. „Filozofia prawa J. J. Rousseau“, wydanej przed 30 laty w Krakowie (praca habilitacyjna).

Stefan Wierczyński: W czasie wojny pracowałem nad kilkoma tematami z zakresu historii literatury polskiej i innych literatur słowiańskich oraz bibliografii.

Prace te obecnie kontynuuję, starając się je wykończyć i przygotować do druku, choć obowiązkowo pozostawiają na ten cel bardzo niewiele czasu.

Do pierwszej grupy należy praca o „Literaturze średniowiecznej polskiej i czeskiej“ (w dwóch redakcjach: obszerniejszej, monograficznej i zwięźlejszej naukowo-popularnej), dalej: wstęp do słowianoznawstwa, ze szczególnym uwzględnieniem dzieł słowianoznawstwa polskiego; w stadium przygotowawczym znajduje się praca pt. „Staropolska pieśń religijna“ (zarys historyczno-literacki, teksty, bibliografia), tudzież edycja niewydanej dotychczas staropolskiej „Historii trzech królów“; ponadto planuję opracowanie drugiego wydania mego „Wyboru tekstów staropolskich do r. 1543“ (ogłoszonego w r. 1930 w „Lwowskiej Bibliotece Słowiańskiej“, t. 12), oraz przygotowuję nowe wydanie trzech „tomików średniowiecznych“ w zbiorze „Biblioteki Narodowej“ („Średniowieczna pieśń religijna polska“ i „Średniowieczna proza polska“ w opracowaniu Al. Brücknera — i „Średniowieczna poezja polska świecka“ w moim opracowaniu).

Do drugiej grupy należy obszerniejsza praca poświęcona teorii, historii i metodyce bibliografii, pisana podczas wojny, a obecnie kontynuowana; pierwsza jej część, obejmująca teorię bibliografii, jest na ukończeniu; z drugiej, historycznej, mam opracowany zwięzły zarys rozwoju bibliografii polskiej; do trzeciej, metodologicznej, gromadzę i kompletuję materiały; obok tego pracuję w dalszym ciągu nad „Wstępem bibliograficznym do studium literatury polskiej“ oraz nad bibliografią literacką czasopism polskich, której pierwsze tomy (z materiałami ocalałymi i nowozebranymi) przygotowuję stopniowo do druku.

Janina Zabierzeńska-Zelchowska: Mam przygotowany nowy tom wierszy zebranych na przestrzeni lat 1939-1946. Chciałabym je wydać. Jednakże zdaję sobie sprawę z trudności znalezienia rzykanta-wydawcy dla tego rodzaju twórczości. Podobno trudniej jest dzisiaj niż przed wojną znaleźć firmę wydawniczą do wydania, choćby nawet skromnego objętością, tomiku poezji. Na półkach księgarskich, poza nielicznymi wyjątkami, nie znajduje czytelnik utworów współczesnych poetów. Na razie ograniczam się do publikowania w prasie swych wierszy oraz artykułów na tematy społeczne i młodzieżowe. Mam również zamiar ująć w formę pamiętnikarską działalność społeczno-narodową kobiecych organizacji śląskich na tle walki z niemiecką w przedwojennym województwie śląskim.

## Gebethner i Wolff

Warszawa-Kraków-Lódź-Poznań-Zakopane  
Rok założenia 1857

JERZY ANDRZEJEWSKI

ŁAD SERCA

powieść, wydanie czwarte w oprawie zł 280.-

MARIAN RUTH-BUCZKOWSKI

WARSZAWSKI  
DOWCIP W WALCE

10 ilustracji zł 90.-

PIOTR CHOYNOWSKI

KU ŹNIA

powieść historyczna z lat 1861-63 wyd. IV  
w oprawie zł 280.-

WŁ. ORKAN

LISTY ZE WSI

i inne pisma społeczne

do druku przygotował i rozprawą wstępną  
poprowadził St. Pigoń w oprawie zł 200.-

W najbliższym czasie ukażą się:

BOGUSZEWSKA H. Świat po niewiedomemu  
PARANDOWSKI J. Dysk olimpijski  
PRUS B. Łalka (3 tomy)  
SIENKIEWICZ H. Quo vadis (2 tomy)

\*) Por. odpowiedzi w nr. nr. 08-86 „Odrodzenia“.



# „Wiadomości“ londyńskie

P. M. Grydzewski wydaje w Londynie tygodnik „Wiadomości“. W dwu numerach tego pisma (12, 13) znajdujemy wszystko, co typowe dla beznadziejnie chorej emigracji polskiej na Zachodzie.

Rolę teoretyka odgrywa w piśmie Grydzewskiego — Adam Pragier. W artykule pt. „Socjalizm i komunizm“ składa Pragier dowody, że przespał ćwierć wieku i budzi się dziś w zupełnej dla siebie obcości. Chciałby on dożyć chwili, w której wybuchnie trzecia wojna i marzy o zmobilizowaniu „socjalistów“ przeciw komunizmowi.

„Komunizm nie jest wcale bardziej lewicową formą socjalizmu, lecz strukturą państwa totalnego, dążącego do rozszerzenia się na trzech kontynentach i do ogarniania zasięgiem swoich wpływów wszystkich państw“. Wypisawszy tę maksymę niby najbardziej prawowity konserwatysta z partii Churchilla, Pragier głosi z emfazą, że „socjalizm musi (tedy) przyjąć walkę na całej szerokości frontu, na której ją wytoczono“.

Jaki socjalizm? Ten, o którym sam p. Pragier pisze tak bardzo krytycznie?

„Zadanie to — wykład p. Pragier — tak istotnie wiąże się z najgłębszą troską socjalizmu, że tam, gdzie ruch socjalistyczny, czy jakiś jego odłam nie umiał jego spełnić, usuwał się z pola walki, lub próbował paktować z przeciwnikiem, przestawał po prostu istnieć jako siła społeczna“.

P. Pragier miewa chwile jasności i widzi, że np. we Włoszech „z trudem wyszukuje się ostatnich mohikanów tego ruchu z okresu przed Mussolinim“. Rozumie nawet, że w Niemczech ruch socjalistyczny i zawodowy „u schyłku republiki weimarskiej nie umiał użyć swoich wielkich sił dla odparcia narastającej dyktatury“.

„W pewnej chwili liczył, że od dyktatury Hitlera wyrąta go dyktatura wojskowa gen. Schleichera. Po objęciu władzy przez Hitlera związki zawodowe wierzyły, że będą mogły istnieć także przy jego dyktaturze. Wzięły nawet udział w święcie majowym, urządzonym przez nowy régime. Nazajutrz zostały rozwiązane“.

I na ten „socjalizm“ p. Pragier chce obecnie znów postawić? Widzi to i owo, a nie dostrzega, że sam jest „socjalistą“ spod znaku tych, którzy w swoim czasie okazali słabość ducha, moszcząc faszystom wygodną drogę do władzy.

P. Pragier robi wielkie wysiłki, by emigrację podtrzymać na duchu. W polemicznym artykule „Nie trzeba przesadzać“ z podejrzaną gorliwością tłumaczy, że „środowisko polskie w Wielkiej Brytanii nie ma powodu do biczowania się. Okazało się odporne na bardzo silne wpływy zewnętrzne a także na dywersję wewnętrzną. W całości zachowało się dotąd dobrze, i nie ma przyczyn do powątpiewania, by na przyszłość miało być inaczej. Liczba odstępstw jest nieznaczna. Pion moralny niezachwiany. Nie dostrzegam wśród Polaków w Wielkiej Brytanii ani „nastrojów emerytalnych“, ani „zgaszenia“, ani „przerazenia własnym cieniem“ ani „podstawy kuczej“.

Optymizm p. Pragiera jest robiony na wynos i na wewnętrzny użytek, bowiem wśród Polaków nad Tamizą rośnie przeświadczenie o zupełnej klęsce.

Oto Leszek Kirkien w „Minucie wspomnienia“ („Wiadomości“, nr. 13) pisze:

„Wiemy, że przegraliśmy wojnę politycznie i wojskowo...“.

P. Kirkien, nieuleczalny sanator, atakuje namiętnie rząd Sikorskiego i Mikołajczyka:

„Zacietrzewienie, brak charakteru i rozumu, niewyrobienie i naiwność polityczna, połączona z bufonadą i ambicjami większości ministrów rządu Sikorskiego i Mikołajczyka, doprowadziły do tego, że straciliśmy nasze atuty moralne i polityczne“.

P. Kirkien ciska gromy na głowę Winstona Churchilla za „zło, które wyrządził Polsce, i brutalność wobec nas, której dał wielokrotne dowody“. Powinni to przeczytać krakowscy entuzjaści Churchilla, którzy pojawienie się jego na filmie oklaskiwali niedawno żywiołowo, dając dowód politycznej ciemnoty i braku narodowej godności, gdyż było to niedługo po fultońskiej mowie szefa konserwatywnej partii angielskiej.

Ale p. Kirkien reflektuje się pod koniec i zwraca do twardej konieczności emigrantów:

„Gorycz, którą przepełnione są nasze serca, nie powinna wpłynąć na nasz zasadniczy stosunek do Wielkiej Brytanii, zwłaszcza w chwili, gdy powstaje ma korpus przysposobienia i stworzyć warunki bytu dla dwustu tysięcy Polaków żołnierzy i ich rodzin“.

Ma to być nowy zaciąg ofiar w znanym stylu San Domingo.

Podniesieniu ducha służy wiersz Mariana Hemara „Liberum veto“. Piosenkarz warszawski i dostawca tekstów dla najłżejszej, podkasanej muzy, wyrasta na wyspie brytyjskiej do rozmiarów wieszczki i nauczyciela narodu.

„I siedem lat minęło — jak dzień niepowszedni, Ale krótki, zdysany — jak sen niespokojny. Mądrym się nie zmienili na świecie. My jedni Z tym, z czym weszliśmy pierwsi — wychodzimy z wojny“.

Z czym?!

„Pobić nie powstanem, poległ nie wskreśnięm. Im za późno ustąpić — mogliśmy przed Wrześniem. Nie można, nie wypada być natchnieniem świata I jak chmurka natchnienia pełznąca na nieba Dlatego, że minęły trzy czy cztery lata I światu nie natchnienia, ale hańby trzeba“.

Więc Marian Hemar zaklina rodaków, by trwali w odmowie, w niezgodzie, by krzyczeli, że nie! Że to nie to!

Podobnie wypowiada się Jan Rostworowski w wierszu „Rachunek sumienia“. Ludzie ci wzięli głęboko i na serio frazesy o Polsce — natchnieniu świata i upajają się zwietrzałym trunkiem mesjanizmu narodowego. Spadając więc z obłoków na ziemię czują się oszukani i zdradzeni.

„Cóż, na poddaszu, w złym dziurze Snam oszukuje pusty brzuch Chrystus Narodów I Król Duch, Sumienie Świata I Przedmurze. A rano, zanim się połapie, Już pozmiętało coś na mapie. Mówią: „Skończone przedstawienie, Do zobaczenia. Za sto lat Znowu spotkamy się na scenie“...“

Tak oto do głów najbardziej egzaltowanych mesjanistów przenika refleksja, wschodzą ziarno krytycznej myśli mimo trwającego jeszcze odurzenia i czadu.

Lecz oblicze „Wiadomości“ Grydzewskiego nie byłoby zupełne, gdyby w nich zabrakło... Zygmunta Nowakowskiego. Oto sztandarowy mąż naszej „prawdziwej“ demokracji, której porcje co niedziela rozdawał onego czasu w Ikacu. Ten ci jest, który najwięcej dokazywał i dokazuje, przedstawiciel „wolnej literatury“.

„Literatura — pisze on — to przecież teren wyodrębniony, eksterytorialny, zdawałoby się, niezależny od dyspozycji rządowych, przynajmniej niezależny od nich w krajach wolnych i demokratycznych“.

Np. w Polsce za czasów Koca i gen. Skwarczyńskiego.

I teraz, gdy w gmachu polskiej ambasady rozgłosili się urzędnicy naszego rządu a PEN Club angielski cofnął uznanie PEN Clubowi emigracyjnemu, on „niepoprawny romantyk“, „indywidualista“, piewca „pieśni, która ujdzie cało“, bohater honoru — jest „zaskoczony, wytracony z równowagi“ faktem, że literatura angielska, w ślad za dyplomacją, „cofnęła uznanie“ pisarzom emigracyjnym.

„Kanty i oszustwa uchodzą i obowiązują w polityce“ — godzi się Zygmunt Nowakowski. Sam stosował tę zasadę i zabłysnął znanym w świecie artykułem o Katyniu — „Ca-

strum doloris“. Gdy już wszystkie winy spełzną i to co nas porusza przysypie popiół czasu i pokryje patyna lat, ten jego artykuł pozostanie w pamięci. Niezapomniane jest uczucie, z jakim słuchaliśmy go w szeregach niemieckiej w Warszawie i oglądali jego przedruk w szmatławcu stołecznym. Nowakowski pluł w twarz Polsce, w której już wtedy dopełniała się liczba 6 milionów obywateli zakażonych, zagazowanych i rozstrzelanych. Świadomie trącił prawdę, łącząc się w jednym wysiłku z Goebbelsem. Hitlerowskie ministerstwo informacji i propagandy doceniło wartość usługi Zygmunta Nowakowskiego.

Dziś Nowakowski okłamuje polonię zagraniczną, straszy ją terrorem w Polsce, żelazną kurtyną, martwi się o Jana Parandowskiego, że na kongresie PEN Clubów w Sztokholmie, acz „jest znakomitym literatem i nieposzlakowanym Polakiem, jednakże w obecnych warunkach politycznych nie może on, wbrew swym najlepszym chęciom reprezentować wolnej twórczości polskiej“.

Nie? Nie może? Bo Parandowski dostał specjalne zastrzyki, które pozbawiają go woli i zdolności słowa?

Martwi się Nowakowski o pisarzy w Polsce i poza Polską, którzy „nie wszyscy przeżyli wojnę w dostatkach jak my“.

Martwi się, że p. M. Rojek na zjeździe PEN Clubów w Kopenhadze musiał zetrzeć się „z p. o. Polakiem najbardziej minorum gentium“. Nieprzystojna aluzja rasistowska jest niezgodna z prawdą. Ale jak w tym świetle wyglądają pp. Grydzewski, Hemar, Weintraub, koleżdy po piórze i przyjaciele po ideologii p. Zygmunta Nowakowskiego?

Adorator „Trylogii“ Sienkiewicza („Wszelkiszka“, „Wiadomości“, nr. 13), wybiera z niej Nowakowski same grzechy, z których uktada „książeczkę do nabożeństwa na intencję złudnej wielkości“. Jakżeż bliski jest prawdy, gdy pisze w związku z tym o sobie: „Jesteśmy jakby masą rozproszkowaną, rozbitą, zmiażdżoną“. W prostracji, w którą popadł wraz z całą emigracją, nie dba o fatalne następstwa kultu utudy, wielkości bez pokrycia, mocarstwowości z pustką i próchnym zamiast siły i treści. Gotów jest lekkomyślnie jeszcze kiedyś sprokować krwawe barykady w kraju i z bezpiecznej odległości uprawiać rzemiosło idealisty-romantyka. Zaś w gruncie rzeczy pozostaje społecznym obskurantem, dla którego „Trylogia“ jest „idealnie chłopską, bo szlachetcząną przepojoną powieścią“.

Z 13-u numerów „Wiadomości“, które dotąd wyszły, otrzymaliśmy dwa. Czekamy na dalsze, aby naszych czytelników informować dokładnie o ich treści i w miarę możliwości podać im najwięcej charakterystycznych, bądź godnych uwagi cytatów.

Na dowód prawdy o „żelaznej kurtynie“.

## Dwa nurty, dwa oblicza

Niedawna wizyta intelektualistów francuskich w Polsce odbija się obecnie echem w prasie francuskiej. Katolicy jej uczestnicy ogłaszają wrażenia z podróży, wyrażając nie zawsze dodatni pogląd na pewne sprawy, z którymi się zetknęli. W „Esprit“ ksiądz Glasberg zajął się np. omówieniem postawy polskiego kleru, zarzucając niektórym jego przedstawicielom usuwanie się, z przyczyn oportunistycznych, od należycie ostrego zwalczania antysemityzmu. Ksiądz Boisselet w „Tremps Présent“ napisał, że część kleru polskiego znajduje się w opozycji i że rząd ma prawo być wobec niej nieufnym; kler zajmuje często stanowisko wycekujące, pomimo że położenie Kościoła w Polsce nie jest złe, że zatem katolicy powinni prowadzić politykę porozumienia. „Byliśmy zdziwieni, by nie powiedziecie urażeni — pisze ks. Boisselet — klerikalizmem w Polsce. Takie np. instytucje jak małżeństwo cywilne są dla nas rzecz naturalną. Równie naturalny jest brak przymusowego nauczania religii“.

Oto jeden katolicyzm. A teraz drugi: W Słowacji, w okresie okupacji hitlerowskiej, stanowisko kleru — należącego w całości do rządzącego „Katolickiego ludowego stronnictwa księdza Hlinki“ — było do tego stopnia faszystowskie i prohitlerowskie, że rząd czechosłowacki musiał wsadzić pod klucz nie tylko ks. Tiso, szefa operetkowego „rządu“, ale również wielu innych księży a także dwóch biskupów, ks. Busada z Trnawy i ks. Wojtaszaka ze Spisza. W kwietniu 1946 roku biskupi ci zostali zwolnieni. Z jakim skutkiem? Już w maju wnieśli memoriał do prezydium Narodowej Rady Słowackiej w Bratysławie w obronie ks. Tiso, wystawiając mu świadectwo moralności, dbania o dobro ogólne itp. i podkreślając z naciskiem, że „rozwiązanie sprawy ks. Tiso będzie mieć daleko sięgający wpływ na nastroje i zachowanie się części narodu słowackiego wobec nowej Czechosłowacji“. Gdy ten szantaż nie pomógł, doszło w czerwcu do poważnych zaburzeń przeciwczechskich i przeciwrządzieckich pod egidą ludzi z b. stronnictwa hlinkowców. Domagano się m. in. nie tylko uwolnienia Tisy i Tuki, ale nawet takiej kanalii jak Aleksander Mach, exszef „Hlinkowej gardy“. I musiała interweniować policja, straż pożarna, wojsko itp.

Dwa katolicyzmy — czyżby przepaść pomiędzy katolicyzmem, biorącym tak wybitny udział w międzynarodowym ruchu oporu, a katolicyzmem kolaboracyjnym księży Trzeciaków, Tisów, Freckenów (jeden z twórców dywizji holenderskiej, walczącej po stronie niemieckiej na wschodzie), Conradów, Kolkovičiów i in.? Oczywiście nie. Ale niewątpliwie: dwa kierunki, dwa wyrazy praktycznego pojmowania katolicyzmu i jego politycznej roli. Który z tych kierunków zwycięży? Problem jest wielkiej wagi, zwłaszcza dla wszystkich społeczeństw katolickich. Od jego rozwiązania zależy, czy katolicyzm rychło wyjdzie z kryzysu i czy odegra tę rolę w nowoczesnym świecie, po jaką już sięgnął we Francji i Włoszech.

Jaszcz

## KORESPONDENCJA

NIEPOTRZEBNA KSIĄŻKA

Do redaktora „Odrodzenia“

Nawiązując do recenzji p. Józefa Sieradzkiego pt. „Bakcyli niewoli“ w nr. 24 (81) „Odrodzenia“ z dnia 16. VI. 1946 r., chciałabym poruszyć następującą kwestię. Mianowicie, opierając się na opowiadaniach przeżyć b. więźniów obozów koncentracyjnych, pragnę nadmienić, że obok zbrodni i zła, obok straszliwej martyrologii, istniało w obozach, bezspornie nielicznych, inne życie więźniów — życie H. tylko ich własne, do którego kaci SS nie mieli dostępu. A więc poza tzw. „organizowaniem“, poza możliwym byłokotem zarządzania i nakazów niemieckich, starano się zorganizować życie intelektualne. Były pogadanki, recytacje i śpiewy — nawet komplety dokształcające. Nie należy myśleć, że odbywało się to codziennie, czy też b. często i że było wynikiem „dobroci“ SS-manów. Bowiem jest rzeczą oczywistą, że wykrycie takiej działalności groziło śmiercią. Fakt, że rzeczy te istniały, trzeba rozumieć i oceniać wyłącznie jako przejaw odwagi, oraz ogromnej siły woli i ducha więźniów; jako odrzutkę na jad bestialstwa i poniżenia, jako walkę dla podtrzymania i krzepienia ducha innych — by wytrwać do straszliwej gehenny. Wiemy, że mocni psychicznie byli odporniejsi, łatwiej znosili niedole i cierpienia. I nie ulega wątpliwości, że owe jaśniejsze chwile, pozwalające zapomnieć o męce i upodleniu, były chwilami, z których płynęła otucha. Dlatego właśnie, że z narażeniem życia rzeczy te się realizowały, była to walka zwycięska. Ma to ogromne znaczenie, jako jeszcze jeden dowód naszego bohaterstwa.

Bezspornie wielu osadziło jako niemożliwą. Pozwól więc sobie przeprowadzić tu analogię do niewiary z jaką odnosi się Anglia i Szwecja do naszej walki podziemnej. Nie mogli wyobrazić sobie, że przy potęgującym się terrarze — nasza walka podziemna wzrastała. A przecież wszyscy wiemy, że było to prawda. I gdyby pojawiły się w naszej literaturze książki, omawiające dokładnie i tę drugą, lepszą stronę życia w obozach, nie powinniśmy wnioskować — podkreślam to raz jeszcze — że działają to w skutek łagodności i pobłażliwości potworów SS, lecz tylko i wyłącznie dzięki odwadze, dzielności i ogromnej sile ducha naszych więźniów. Tym wszystkim, którzy organizowali tę intelektualną walkę, uwieczniona bezspornym zwycięstwem, należy się wielki podziw i uznanie. P. S. Powyższe nie jest bynajmniej pochwałą lub obroną książki dr Stanisława Jagielskiego. Istotnie przeczyta ją jego są inne, niż milionów męczenników obozowych. I ciekawe, że podobna tolerancja mogła w ogóle istnieć w tych kaźniach. Jest to tym większa osobliwość, że na pewno poza p. Jagielskim, bardzo nieliczne jednostki mogą pochwalić się podobnie „jedwabnym życiem“ w obozach. A więc jaka racja wydawania w ten sposób ujętej książki?

Wanda Marszycka (Otwock)

SPROSTOWANIE

Do redaktora „Odrodzenia“

W artykule moim „Szkoła nowej demokracji“ („Odrodzenie“, nr. 85) na str. 5, 3 szpalt, drugi wiersz od dołu winno być: odbycia zamiast odkrycia i na str. 6, 1 szpalt, wiersz 34 od dołu winno być: beneficjentami zamiast benefaktorami.

Józef Sieradzki (Kraków)

## O pisarzach śląskich

Wilhelm Szewczyk. Śląski trud literacki. Pisarze Śląscy XIX i XX wieku. Wrocław, „Książnica-Atlas“, 1946; str. 68.

Książnica-Atlas, oparłszy się we Wrocławiu, zadokumentowała od razu swój rzetelny stosunek do nowego terenu pracy wydawniczej, rozpoczynając wydawnictwo biblioteczki p. n. „Oblicze Ziemi Odzyskanych“. W dolnośląskim, a ściślej mówiąc śląskim cyklu tej biblioteczki zapowiedziano na początek około dwudziestu broszur w zakresie geografii, przyrody, literatury i kultury w ogóle, historii i gospodarki. Jako jedna z pierwszych książeczek ukazała się rzecz Wilhelma Szewczyka, dająca obraz piśmiennictwa polskiego na Śląsku w dobie odrodzenia narodowego, tj. od początków XIX w. po rok 1922.

Ten debiut śląskiego cyklu wydawniczego i debiut Szewczyka jako krytyka i historyka piśmiennictwa śląskiego przynosi raczej zawód. Rzecz miała być chyba w założeniu swym i przeznaczaniu popularna, tzn. dająca obraz rozplanowany przejrzysto, nakreślony jasno i ujęty w sposób dający pewną, nie budzącą wątpliwości syntezę. Autor postawił sobie za zadanie nakreślenie trudu, jakiego dokonano piśmiennictwo polskie na Śląsku na przestrzeni ostatnich stulecia, trudu w dziedzinie samej pracy nad słowem polskim a przede wszystkim w budzeniu, rozwijaniu i kształtowaniu świadomości narodowej Polaków śląskich.

Koncepcja ta w rozwinięciu autora „Śląskiego trudu literackiego“ przyniosła nieszczęśliwy rezultat. Zawiniła tu głównie konstrukcja i rozplanowanie całego szkicu. Główną linię rozwoju myśli polskiej na Śląsku w okresie odrodzenia narodowego odczytujemy tu z pewną trudnością. Poszczególne pisarze doskonale charakteryzują swoją działalnością i życiem jej znamienne etapy. Bez trudu da się ich połączyć w pewne typowe dla danego okresu czasu grupy, co Szewczyk próbuje zrobić, ale przez rozbieżność środkowej części szkicu na trzy rozdziały, odbiegające od zasadniczej konstrukcji myślowej całości, zaciemnia i gmatwa obraz. Wskutek tego zwłchnięcia konstrukcyjnego w kolejnych trzech rozdziałach powraca trzykrotnie do tych samych pisarzy i tych samych zagadnień, rozbijając całość problemu na drobne, szczegółowe sformułowania. Cały szkic przecież poświęcony jest „obrazowi Polski w utworach pisarzy śląskich“ i służbie narodowej tych pisarzy, nie było więc potrzeby wyodrębniania tych dwóch tematów w osobne ogniwa książki.

Inna cecha tego szkicu to mała precyzyjność w formułowaniu sądów i kreśleniu charakterystyk poszczególnych pisarzy. Szewczyk ponosi skłonność do pożytkowania. Pisze prozą kwiecistą, nieopaną, nastawioną na łatwy efekt, stylem nierównym, ślącym się na bezpośredniość w atakowaniu czytelnika. Z tych efektownych powiadeń i ozdobnych zdań niewiele zostaje czytelnikowi.

Konkretny materiał informacyjny i wnioski rozpluwają się i gubią. Oto przykłady: „Zaszyły różne zmiany i już w sto lat później obraz Polski z am u-111 się tak, że na początku XIX wieku musiano sierać z jego powierzonej rdz i mgły“ (str. 35). Albo: „Wichry dziejowe powiewały nad wiekiem XVII“ (str. 6). O Stalmachu m. in.: „Wyrwa się do polszczyzny jeszcze w czasach gimnazjalnych. Rozpoczyna już wtedy drogę ku książce polskiej“ (jaka? do czego zmierza?). I jedno ze zdań o Janie Łysku: „Wolność w powiatach poetyckich wielosłowa, rogatej, fantastycznej, wszechludzkiej i wszechboskiej rzeczywistości, wolność w zapachu porannym gór — oto główne tony i barwy Łyskowej poezji i dramatów“ (str. 53). Czytelnik daremno trudzi się nad doszukaniem się treści w tych nagromadzeniach poetyzujących określeń, porównań i metafor. Autor chciałby tu być oryginalny i nowy, ale w ten sposób nie może zatrzeć jednego: że jest to tylko nowe i odmienne stylizowanie ucie spraw znanych już dotychczas, że zasób wiadomości o pisarzach śląskich i ocena ich wysiłku narodowego i literackiego nie została tu niczym nowym wzbogacona. Jako stwierdzenie godne uwagi — wydaje mi się — zanotować można tylko jedno: „Pisarzom Ślązacom od Stabika do współczesnych zarzucić można brak wyobraźni, ale za to posiadają silne poczucie rzeczywistości“. Jeśli jeszcze gdzieś indziej znalazłby się podobne myślenie, to nikt na one w galopie efektownych frazesów, jak np. taka synteza piśmiennictwa śląskiego w XIX w.: „Rzeczywistość dziesiętnastego wieku była wielka. Z jej poczucia rodził się obowiązek, rodziło się życie dla narodu. Tak powstała literatura prawie żołnierska, literatura obowiązku narodowego. Śląsk jest dumny, że taką właśnie stworzył i rozwinął“.

Dlatego dochodząc istotnej treści tych czy innych wypowiedzi autora, wiele z nich można by w całości i szczegółach zakwestionować, na co nie pozwalają szereg ramy tej recenzji. Sporo też drobnych nieścisłości czy to przy charakterystyce Lampy, czy przy omawianiu piśmiennictwa Śląska Cieszyńskiego. Jan Kubisz znów został zbytby najniebezpieczniej choćby ze względu na sam literacki walor jego wierszy, ks. Aleksander Skowroński nie został nawet zaznaczony wzmianką, ks. Grim należałby wymienić i to w okresie, do którego należał tylko przez to, że przeżył Jaronia i Świdra. Ostatni rozdział ze względu na zbyt wielką pobieżność w potraktowaniu tematu należałoby raczej w ogóle pominąć („Na trakcie I wspólnego pokoju i na ścieżkach walki“).

Dodatnią cechą szkicu Szewczyka jest nieśmiałość jeszcze próba głębszego spojrzenia na proces odrodzenia narodowego od strony psychiki jego twórców, którymi m. in. byli pisarze. W sumie jednak szkic ten informuje skąpo, pobieżnie i chaotycznie.

Zdzisław Hierowski



# Przegląd prasy

Produkcja czasopiśmiennicza w Polsce jest dziś tak ogromna i ożywiona, iż sumienny sprawozdawca, jeśli nie chce narazić się na zarzuty pomijania licznych pocztu wydawnictw, musi z konieczności być jak najbardziej zwięzły i z przeglądu uczynić czasem po prostu wykaz bibliograficzny, pozbawiony nawet owych własnych trzech groszy, które by wleknąć chciał w swe sprawozdanie. Takim właśnie rzutem oka musi być z konieczności obecny przegląd.

Hasłem „O właściwe miejsce dla muzyki“ opatrzone „Ruch Muzyczny“ w podwójnym numerze 11—12 cykl artykułów, stanowiących jakby rozwinięcie wstępnego „Memoriału w sprawie potrzeb muzyki polskiej“, ogłoszonego przez krakowskich muzyków, muzykologów i pracowników kultury. Poruszono są wszystkie tematy: Rada Muzyczna i filharmonia, Polskie Wydawnictwo Muzyczne, szkolnictwo muzyczne i stosunek szkoły ogólnokształcącej do muzyki, problem opery, ruchu koncertowego, nawet szkoły tańca. Roman Palester („Twórczość muzyczna w nowej Polsce“) nie podziela entuzjastycznych poglądów na dzisiejszy, wyjątkowo jakoby poglądowy stan polskiej twórczości muzycznej, podkreśla, że „rozwija się ona w kręgu ideałów artystycznych, wypracowanych w latach przedwojennych“, dostrzega „hypertrofię kompozytorską bez istotnego pokrycia w zapotrzebowaniu społeczeństwa“ i widzi w ostatnich latach „pewien kryzys w naszym życiu muzycznym“, który spowoduje zmniejszenie się ilości i obniżenie jakości twórczości muzycznej, „jeżeli nie wciągniemy w krąg odbiorców muzyki nowych warstw społecznych“, powodem szczególnej troski winna być wreszcie fatalna sytuacja materialna kompozytorów, powodująca, iż od czasu zakończenia wojny „albo nic nie piszą, albo bardzo mało“. Jak zwykle w takich syntetycznych omówieniach uogólnienia są czasem zbyt ogólnikowe, a zarzuty czy pochwały nie zawsze znajdują pełne pokrycie; ale te omyłki nie naruszają słuszności właściwego obrazu. Natomiast mocno wątpliwe są tezy Tadeusza Szeligońskiego: mianowicie że opera „posiada dużą atrakcyjność dla mas... że masy istotnie tej muzyki chcą słuchać i chętnie słuchają“. Jak to naprawdę wygląda, czytamy 20 stron dalej w krótkim sprawozdaniu Z. Szczepańskiego z ruchu muzycznego w Lublinie.

5 zeszyt „Przyjaźni“ poświęcony jest szerszemu sprawozdaniu z obrad I Kongresu Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, odbytego w Warszawie w dniach 1—3 czerwca br. Ponadto w zeszycie popularny artykuł K. Czachowskiego o Maksymie Gorkim.

Wyraźne skłonności popularyzacyjno-pedagogiczne miał z początku „Meander“, miesięcznik poświęcony kulturze świata starożytnego (Warszawa, red.: dr K. Kumaniński i dr K. Michałowski). Stopniowo czasopismo nabrało wyrazu i wartości; zeszyt 5, najlepszy z dotychczasowych, przynosi żywo napisane i zajmujące artykuły na takie tematy jak „Greckie podróże do piekieł“ (Gabriela Pianko) lub „Małżeństwo w zaraniu wieków“ (Włodz. Kozubski). W dziale przekładów kapitalne fragmenty z „Rozmów bogów“ starego sceptyka Lukiana. Gorąco polecamy „Meandru“ miłośnikom antyku, nie tylko grecko-rzymskiego.

Towarzystwo Przyrodników im. Kopernika w Krakowie wznowiło wydawanie kwartalnika „Wszczę świat“ (dotychczas ukazało się pięć obszernych zeszytów pod red. D. Szymkiewicza). W słowie wstępnym przypomniał prof. J. Tokarski, prezes towarzystwa, przedwojenny dorobek wydawniczy, tomy naukowego „Kosmosu“ (ma być wznowiony) oraz popularnego „Wszczę świat“, „przeznaczonego dla najszerszych mas“. To prawda: 1755 przedwojennych zeszytów „Wszczę świat“ jest istotnie kopalnią wiadomości przyrodniczych, zwłaszcza o przyrodę polskiej. W dalszym ciągu prof. Tokarski pisze coś o „wyzwalaniu w człowieku pierwiastków o wysokich walorach ducha“, ale, na szczęście, treść „Wszczę świat“ jest rzeczowa, bez skręceń na metafizyczne manowce. Każdy zeszyt „Wszczę świat“ zawiera część artykułową i troskliwie prowadzony dział „Drobiazgowo przyrodniczych“. Trzeba stwierdzić, że pismo spełnia z pożytkiem swe zadania, artykuły są informacyjne, ale na uniwersyteckim poziomie. Są też często rozumnie aktualne (A. Bolewski: „Bogactwo mineralne Śląska Zachodniego“, J. Zajączkowski: „Polska fauna ryb obszaru bałtyckiego“).

Założenia popularyzacyjne, ale w skali szkoły średniej, mają „Rzeczy Ciekawe“ (miesięcznik, wydawany w Warszawie przez Centralną Poradnię Samokształcenia, red.: M. Suszyńska), przeznaczone dla młodzieży robotniczej i wiejskiej, mające „nie uczyć, ale pomagać w zdobywaniu wiedzy, uzupełniać wiadomości już posiadane, wzbudzać zainteresowanie, doradzać drogi“. Czasopismo rozpoczęło, jak przystało na rok 1946, od cyklu artykułów o demokracji i bombie atomowej, a potem poruszyło zagadnienia teatru, książki, ONZ, bakterji, Palestyny, twórczości Prusa itd. Wydawnictwo pożyteczne — o ile tyl-

ko istotnie dociera do warstw czytelniczych, dla których jest przeznaczone.

Jak gdyby konieczne było wydawanie jeszcze jednego periodyku nieokreślonego typu polityczno-społeczno-rozrywkowego, pojawiło się w Łodzi pod nie wymienioną z nazwisk redakcją nowe pismo ilustrowane „Tydzień“. Strona graficzna przyjemna, treść — mowa o pierwszym zeszycie — raczej obojętna. Zapowiedź, że „Tydzień“ będzie „trybuną niezależnej opinii publicznej“, że przyczynić się będzie „do wytworzenia świadomej inicjatywy“ i że chce „służyć na tej drodze rozwojowi człowieka w nowych formach życia“ — to frazesy. Mówiąc realnie: trudno na razie przesądzić, czy „Tydzień“ będzie wart czytania. Artykuły bowiem w nim ogłoszone znalazłyby właściwsze miejsce w dziennikach. Równocześnie klóci się już w pierwszym numerze z zapowiedzianą w programie obiektywną oceną zjawisk podrażniona walka J. N. Millera z wiatrakami rzekomo pleniącej się w Polsce tezy „pewnych kategorii teraźniejszej inteligencji“, że „świat się od nich zaczął“, a tymczasem — grzmi Miller — współczesna demokracja w Polsce „nie jest jakimś towarem importowanym, lecz owocem dwuwiekowych co najmniej wysiłków polskiej myśli demokratycznej“. Zdaniem Millera „koterie i kapliczki pokumanych zasadą siły i przyjacielskiej poręki“ „wytwarzają sztucznie próżnię Torricellego na boisku historycznego wysiłku myśli i uczuć“. Bardzo chcielibyśmy wiedzieć, gdzie on to widział.

Słuszna jest natomiast w „Tygodniu“ i zasadniczy porusza temat notatka T. Rapackiego o konieczności nie tylko leczenia powojennej gangreny moralnej, ale i amputowania tego, co gangrena przeżarła nieuleczalnie. Tragicznym dylematem jest jednak fakt, że o ile amputacja — jako bezzpośrednia kara za zbrodnie — jest możliwa, o tyle olbrzymie trudności następują owe zadania lecznicze. Ci najgorszy chorzy żyją bowiem dziko, nie trafia do nich ani słowo pisane ani wychowanie społeczne. Może by do nich — bodaj pośrednio — trafiła ambona i popularne druki w rodzaju „Niedzieli“, coż kiedy te instytucje zajmują się „polityką“, zwalczaniem rządu i świeckich praw, zamiast walczyć z anarchią i obłędem moralnym.

Miesięcznik Ligi Morskiej „Morze“ kontynuuje na ogół tradycje przedwojenne, mniej tu tylko frazesów „mocarstwowych“ a więcej rzetelnego zbliżenia czytelnika do spraw morskich. Bardzo skromnie przedstawia się dotychczas „Szczecin“, „tygodnik miasta morskiego“, po latach będziemy jednak ze wzruszeniem przeglądając te liche gazetowe stroniczki, wkrzeszające wzię pierwocin odradzania się życia polskiego na jednej z jego najważniejszych pozycji.

„Szczecin“ jest najskromniejszy, najokazalej występuje „Wiatr od Morza“, gdańskie czasopismo poświęcone polskiej kulturze marynistycznej (red.: Janusz Stępiński). Działy informacyjne zestawione są tu bez zarzutu i niemal bez luk, poczynając od prowadzonej systematycznie kroniki „Kultury i sztuki na Wybrzeżu“ a kończąc na rejestrującym szczegółowo wszystkie pozycje morskie przeglądzie prasy. Większe prace w piśmie są ciekawe, zarówno publicystyczne jak historyczno-pracownicze. Interesującym i cennym materiałem dysponuje rubryka „Z nieznanych mórz i ładów“, kładąca przede wszystkim nacisk na sprawy polskie na morskim świecie. Z twórczością oryginalną w „Wietrze od Morza“ słabiej (czasopismo ogłosiło ostatnio fragmenty prozy J. Dobraczyńskiego, Z. Fijaśa, A. Gołubiewa, W. Karczewskiej, J. Papugi, J. B. Rychnińskiego oraz wiersze o treści marynistycznej S. Balickiego, F. Fenikowskiego, S. Mioduszewskiego i in.). Podwójny wakiacyjny (6—7) nr „Wiatru“ na naczelnym miejscu ogłosił znakomitą rozprawę Eugeniusza Kwiatkowskiego „Morska treść w życiu

Polaki“. Rozumny, umotywowany optymizm twórcy Gdyni zasługuje na szerokie rozpowszechnienie, ucząc miłości morza czynnej i twórczej a nie wyrażonej w łzawych, fałszem podszytych śpiewkach.

Podążając od morza w głąb lądu odwiedzamy najpierw bydgoską „Arkona“, której ostatni (6) numer nie przyniósł jednak barziej interesującej treści, a następnie dążymy w górę kraju, zawiadując o „Cychry“ (red.: J. M. Gsiges), miesięcznik kielecki z rodzaju tych, które się określają jako „poświęcone zagadnieniom upowszechnienia kultury“. Ale najciekawsza w ostatnich „Cychrach“ pozycja to przedruk, a artykuł J. A. Zaremby „Nowe drogi szkolnictwa artystycznego“ i impresja F. Zaremby „Zew morza“ również dobrze mogłyby się ukazać w innym wydawnictwie lub — nie ukazać wcale. Jak widać — uprawianie dobrego regionalizmu to sprawa wcale nie łatwa.

Mijając Poznań, nie można przeoczyć „Polski Zachodniej“, tygodnika o dużym zmyśle aktualności, może najobfitszym w kronikę faktów bieżących. Źródło to do śledzenia spraw niemieckich najpocześniejsze.

Dotarłszy do Jeleniej Góry, zastajemy tam luksusowo niemal jak na dzisiejsze warunki wydawany miesięcznik „Śląsk“ (red.: Stefan Kuczyński i Edward Kozikowski). Zarzucano „Śląskowi“ nadmiar materiału historycznego. Niesłusznie! Ostatni (4—5) zeszyt „Śląska“ zachowuje dobrą równowagę pomiędzy historią a współczesnością. Otwiera zeszyt opis pierwszych dni pobytu we Wrocławiu, w maju 1945 r., słynnego już pionierskiego zespołu uniwersyteckiego, opis pióra rektora Stanisława Kulczyńskiego, magna pars owego zespołu i jego kierownika. To już historia; ale jakże żywa i wymowna historia! Ożywić zamierzenie i mało znane dzieje usiłuje też Andrzej Jochelson, rysując sylwetkę biskupa Nankiera: widzi on w Nankierze „postać fascynującą ciekawą, aktualną i nam bliską“ a to dlatego, że Nankier, to rzekomo „pierwszy w środkowej Europie uświadomiony patriota, o sto lat wcześniejszy od Joanny d'Arc“ i, mało tego, ostatni obrońca praw chłopów do apelacji u króla od wyroku dziedziców. Bardzo to kuszące, szkoda tylko że fantazyjne...

Wreszcie katowicka „Odra“. Wyzbyła się wielu złych narowów, naprostowała nieco zez w prawo — docenimy dobre chęci, nie egzergerujemy się, że już wszystko w porządku. Bo nie wszystko jeszcze w porządku. Np. w numerze 23, po słusznych i fachowych artykułach — m. in. o Łużycach i o niesamowitej historii z irredentą obotrycką (!) w kraiku „Wendland“ na zachód od Łaby — na stronie ostatniej, tak charakterystycznej dla pisma, znachodzimy krytykę rzekomej obojętności prasy codziennej dla spraw Ziemi Odzyskanych, czemu „Odra“ przeciwstawia żywe jakoby zainteresowanie dla nich — Gazety Ludowe“. Śledzę dość uważnie prasę codzienną, mogę więc stanowczo stwierdzić, że reklama „Odry“ jest fałszywa. Ziemiom Odzyskanym największej uwagi wśród gazet poświęca „Dziennik Polski“, „Gazeta Ludowa“ kroczy w tej sprawie bliżej szarego końca niż pierwszych szeregów. A z poprzednich numerów przypomnieć by można dziwne wywody Pawła Jasienicy o militarystyce niemieckiej: mniejsza o to, że, zdaniem p. Jasienicy, „armia carskiej Rosji miała pierwszorzędną korpus oficerski“, bo to tylko nawias; ale p. Jasienica chce w nas wmówić, że różnica pomiędzy złym pruskim militarystem a wszystkimi innymi, dobrymi, polegała tylko na tym, iż Niemcy walczyli stale i zdobywco na obcej ziemi, nigdy zaś na własnej. Z czego wynika, że Anglicy bili się chyba zawsze w Anglii... Dlaczego p. Jasienica wije się tak i kluczy, jest dość obojętne; ale po co nam „Odra“ jego zygżaki do czytania podaje, oto jest pytanie!

Jaszcz

## Poezja i proza

W czym tkwi różnica między poezją i prozą? — To pytanie porusza każda generacja badaczy literatury od Arystotelesa począwszy. Każdy z badaczy daje własną odpowiedź na to pytanie i, co gorsza, prawie w każdej odpowiedzi jest coś słusznego.

U nas ta sprawa zajmowała i poetów i krytyków. Repertuar argumentów jest jednak raczej ubogi. Najczęściej używane jest powiedzenie Paul Valéry'ego: „Proza to chód, a poezja to taniec“. Warto ten repertuar wzbogacić zdaniem amerykańskiego badacza literatury Henry Holta, który w książce „Styl angielskiej prozy“ (wyd. 1929 r.) dał taką definicję różnicy między prozą a poezją: „Poezja polega na ekspresji twórczej, proza na ekspresji konstruktywnej“.

Henry Holt uzasadnia swoją definicję w sposób następujący:

„Przez twórczy mam na myśli oryginalny. W poezji słowa rodzą się albo odradzają w akcie myślenia. Słowa są, według terminologii Bergsona, bytem stającym się. Rozwijają się one w umyśle *pari passu* równocześnie z rozwojem myśli. Nie ma żadnej przerwy między słowami a myślą. Myśl jest słowem, słowo jest myślą, a oba są poezją.“

Pojęcie konstruktywny narzuca konieczność gotowego materiału. Słowa znajdują się pod ręką twórcy gotowe do użycia. Proza jest strukturą gotowych słów. Jej „konstruktywna“ funkcja ogranicza się do planowania i budowy — są to, oczywiście, również funkcje poezji, ale w poezji podporządkowane są one funkcji twórczej.

Czy możliwe jest — zapytuje Holty — aby poezja była jedynie sprawą słów? Tak. — odpowiada — Sprawą słów, uwarunkowaną przez wzruszenie, które wyrażają.

Proza także jest sprawą słów, ale nie słów samych w sobie, lecz jedynie słów danych jako martwy materiał przez życie, które jest rytmem. Wydawać się może paradoksem, że poezja może zawierać się w pojedynczym słowie, w pojedynczej sylabie i że może dlatego w krańcowym wypadku być bez rytmu. Proza natomiast nie może istnieć poza ramami zdania, a zdanie zawsze posiada pewien rodzaj rytmu.“

Określenia amerykańskiego badacza zasługują na uwagę. Szczególnie nie są one bez znaczenia na marginesie dyskusji, którą w swoim czasie rozwinął na łamach „Odrodzenia“ Julian Przyboś.

hem

## W „Białej sali“ wojewódzkiej

W bieżącym roku ożywiło się i pogłębiło życie kulturalne Poznania Wskrzeszone przedwojenne Towarzystwo Współpracy Kulturalnej, które dzięki opiece wojewody dr. Widywirskiego i patronatowi wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki rozwinęło żywą działalność i stworzyło ważny ośrodek kulturalny, literacki i artystyczny.

Prezes Towarzystwa prof. Tad. Kurkiewicz i sekretarz S. Hebanowski zebrali piękne zbiory. Poznań ma dwa „jour fixe'y“ kulturalne: „Środy“ Towarzystwa Współpracy Kulturalnej i „Czwartki“ Związku Zawodowego Literatów. Środy w „Białej sali“ wojewódzkiej były imprezami oryginalnymi i ciekawymi.

Czwartki literackie to imprezy szersze i popularniejsze. Środy gromadziły publiczność mniej liczną lecz doborową, kwiat inteligencji postępowej. Czwartki ograniczały się do prelekcji — ze względów zresztą niezależnych od Związku Zawodowego Literatów. Środy miały także dyskusje po odczytach i produkcje muzyczne. Czwartki korzystały z gościnnej auli Akademii Handlowej — ta jednak ogromna, surowa, niewykończona hala nadaje się raczej na wiece i manifestacje polityczne, niż na wieczory poetyckie. Środy miały siedzibę w wytwornej „Białej sali“ Województwa; stylowa radziwiłowska sala dawała piękną oprawę kameralnym koncertom i stwarzała miłą atmosferę dla wymiany myśli. Czwartki odbywały się, jak zapisało, co tydzień. Wojciech Bąk dwolił się i troił, żeby podołał zadaniom; szczerze mu nieraz współczułem, jako człowiekowi, który zobowiązał się, że co tydzień będzie Czwartkiem! Mimo, iż Czwartki ściągnęły wielu znakomitych uczonych i wybitnych pisarzy, brakowało nieraz tym imprezom żywości i donośności. Organizatorzy Śród postąpili roztropnie: wstępowali rzadziej, ale za to za każdym razem jednako wazko.

Krótki przegląd prelegentów i tematów da pojęcie o działalności Towarzystwa Współpracy Kulturalnej. Dyrektor Opery Z. Łato-szewski omawiał „Problemy operowe“, Z. Kępiński „Zagadnienie przełomu kulturalnego“, S. Szczepański „Drogi dzisiejszego malarstwa“. Docent A. Wiegner mówił na temat „Nowe średniowiecze czy nowa kultura“. Wykładający obecnie w Poznaniu na wydziale matematyczno-przyrodniczym prof. K. Ajdukiewicz wystąpił z dwoma odczytami: „Materializm i jego antagonizmy“ i „Spór o materializm“. Pianista Roul Koczalski poświęcił prelekcję „Wpływowi Chopina na nowoczesną muzykę“. Powieściopisarz Jerzy Andrzejewski zajął dyskusję na temat antysemityzmu. Prof. U. J. Roman Ingarden mówił o różnych rozumieniach prawdziwości w sztuce.

Do chlubnych pozycji Śród wojewódzkich należą występy Kwartetu Polskiego, śpiewaków, chórów, solistów i zespołu muzyków, pielegnujących dawną muzykę. Tą częścią działalności zajmował się dr Jerzy Młodziejowski (Uniwersytet Poznański!), który przygotował cztery audycje: 1) „Fryderyk Chopin w Poznaniu“ (Introdukcja i polonez na wiolonczelę i fortepian, Trio g-moll i trzy młodociane kompozycje Chopina), 2) „Moniuszko nieznaną“ (Kwartet smyczkowy d-moll, trzy utwory fortepianowe i trzy pieśni na chór mieszany), 3) Koncert poświęcony twórczości Poradowskiego (utwór na fortepian, trio smyczkowe, dwie pieśni solowe, duet na sopran i alt i trzy pieśni na chór męski) i 4) Koncert muzyki staropolskiej.

Ostatni zwłaszcza koncert wywołał duże zainteresowanie i został niezatarte wspomnienie. Usłyszeliśmy trzy dawne tańce polskie z tabulatur lutniowych w transkrypcji klawesynowej Henryka Opieńskiego, „Dumę“ nieznanego kompozytora polskiego z XVI w. na kwartet smyczkowy, wydaną z rękopisu Biblioteki Krasieńskich w Warszawie, koncert „Tamburita“ Adama Jarzębskiego z XVII w., wspaniałą „Canzonę“ Marcina Mielczewskiego z XVII wieku i „Sonatę-Trio“ S. S. Szarzyńskiego (z 1706 roku), dzieło głębokie i bogato wyposażone pod względem technicznym.

Na zakończenie muszę wspomnieć jeszcze jedną imprezę, najdonioślejszą chyba ze wszystkich: na jednej z artystycznych Śród prof. M. Veigt, kierownik Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki zaproponował zebrany gościom założenie Towarzystwa Przyjaciół Muzyki Kameralnej. Inicjatywę przyjęto z zapałem. Na jesieni nowe Towarzystwo zacznie już działać i walcie przyczyni się do podniesienia kultury muzycznej. Idzie tylko o to, żeby tzw. czynniki miarodajne nie oskapały pomocy i przeznaczyły na popieranie dobrej muzyki choć częśćkę tych pieniędzy, które poszły i które idą ciągle na zakup starych płyt ze szlagierami dla Polskiego Radia.

Wacław Kubacki



## Kronika ilustrowana

Tegorocznii laureaci Nagrody Stalinowskiej

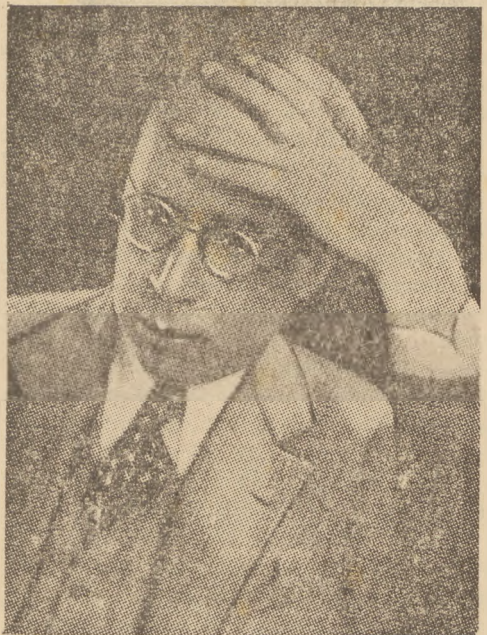


ALEKSANDER FADIEJEW

I nagroda (100 000 rubl.) za powieść  
„Młoda gwiazda”

WALENTY KATAJEW

II nagroda (50 000 rubl.) za powieść „Syn pułku”



SERGIUSZ PROKOFIEW

I nagroda (100 000 rubl.) za balet „Zoluszka”

## W walce z Niemcami

Wydawnictwa Instytutu Śląskiego. Seria: Biblioteka Słowiańska. Józef Widajewicz. Słowianie zachodzą: a Niemcy w wiekach średnich. Katowice, 1946; str. 44.

Celem Niemców było zmuszenie sąsiadujących z nimi Słowian do uznania zależności politycznej i religijnej.

Autor daje nam w swej pracy krótki, treściwy obraz ustosunkowania się do tych zadań trzech odłamów Słowian Zachodnich. Grupa połabska odpowiedziała na oba zadania negatywnie, walcząc bohaterko do końca swego bytu nie tylko państwowego, ale i narodowego. Przyczyna ich upadku był zbyt wybujały indywidualizm szepcowy, który nie dopuścił do utworzenia jednego organizmu państwowego. Na czoło Połabian wysuwały się tylko niektóre ludy, i to nie współcześnie, ale jedne po drugich. Tak więc po upadku federacji Węłętów przodują w walce Obodryci, wreszcie Rugia staje się na kilkadziesiąt lat jądrem pogańskiej Słowiańszczyzny.

Cześć, chcąc uchronić się od zagłady, zgodzili się na zależność polityczną i kościelną od Niemiec. Książka ich staje się wiernymi lennikami cesarza. Kościół czeski podlega metropolii w Moguncji. Polacy natomiast wobec pierwszego zadania zajęli takie same stanowisko jak Połabianie, na drugie w zasadzie się zgodzili, ale chrześcijaństwa nie przyjęli z rąk niemieckich.

Ustaliliśmy przyczyny tej wielkiej tragedii, jaka była konflikt wlecko-polski, prof. Widajewicz powiada w zakończeniu, że prawdziwy polityczny program słowiański polegał winem „na unikaniu wszystkiego, co poszczególnym członkom przyniosło szkody”. Rezultatem dotychczasowego stosunku narodów słowiańskich do siebie było wymordowanie ludów między Odrą i Łabą.

Aleksander Ossowski

## Polska współczesna

## GŁÓWNE LICZBY

Wedle obliczeń dokonanych przez Główny Urząd Statystyczny na podstawie spisu z dnia 14 lutego 1946, a opublikowanych w zeszytach specjalnym „Wiadomości Statystycznych” — liczy Polska:

**powierzchni** — 310 112 km<sup>2</sup>,  
w tym  
Ziemie dawne 208 765 km<sup>2</sup>,  
Ziemie odzyskane 101 374 km<sup>2</sup>,  
**ludności** — 23 911 172,  
na ziemiach dawnych 16 594 724,  
na odzyskanych 5 012 126.  
Ludność w miastach liczy 7 404 557 (31,4%),  
na wsi 16 202 293 (68,6%).

**Gęstość zaludnienia**, tj. liczba mieszkańców na 1 km<sup>2</sup>, wynosi w całej Polsce 77, na ziemiach dawnych 89, na odzyskanych 49.

Województw (i okręgów) liczymy 17, w tym miasto stołeczne Warszawa i miasto Łódź.

Największe co do obszaru województwo poznańskie liczy (z górą) 39 tysięcy km<sup>2</sup>, najmniejsze śląskie liczy (niespełna) 6 tysięcy km<sup>2</sup>. Województwo poznańskie zajmuje również pierwsze miejsce co do liczby ludności (2 442 078).

Odsetek ludności wiejskiej waha się od 53,5% w odzyskanych częściach województwa gdańskiego do 84,5% w województwie rzeszowskim. Gęstość zaludnienia jest — pomijając miasta — najniższa na ziemiach odzyskanych, województwa białostockiego (16) i w okręgu mazurskim (19), najwyższa na ziemiach dawnych województwa śląskiego (286) i w ogóle w województwie śląskim (273), po którym kolejne miejsce przypada województwu krakowskiemu (134), po czym okręgowi Śląska Opolskiego (126).

Powiatów (obwodów) 298, w tym miast o skali jednostek powiatowych 26. Gdy wojew. białostockie ma 12 powiatów, poznańskie liczy ich 42.

Miast liczących powyżej 20 tysięcy mieszkańców jest 60. Na ostatnich miejscach tej tabeli znajdują się: Żyrardów, Leszno, Zamść i Tczew.

Warszawa ma (m. luty 1946) — 476 538 mieszkańców, Łódź 496 861, Kraków 299 565, Poznań 267 962, powyżej 100 tysięcy mieszkańców mają ponadto: Wrocław, Bydgoszcz, Katowice, Gdańsk, Zabrze, Chorzów i Częstochowa.

## ZASIEWY I ZBIORY

W 1945 roku powierzchnia zasiewu pszenicy w 11 województwach dawnego obszaru Polski (tj. bez ziem odzyskanych) wynosiła 341 100 ha, żyta 2 432 600 ha, jęczmienia 464 300 ha, owsa 816 700 ha, ziemniaków 1 279 100 ha, buraków cukrowych 114 700 ha. Szacunek zasianej powierzchni polega na sprawozdaniach zarządów gmin.

Ogólny zbiór pszenicy osiągnął 3 741 100 q, żyta 24 170 800 q, jęczmienia 5 280 600 q, owsa 8 979 300 q, ziemniaków 139 165 000 q, buraków cukrowych 16 982 400 q.

Plon pszenicy z hektara wyniósł przeciętnie 10 q, żyta 9,9 q, jęczmienia 11,4 q, owsa 11 q, ziemniaków 109 q, buraków cukrowych 148 q.

Plan oszacowano na podstawie sprawozdań korespondentów rolnych.

Wedle szacunków opartych na sprawozdaniach tychże korespondentów stan oziminy w połowie marca 1946 roku był średni, przeciętny dla żyta i koniczyny, nieco słabszy, lecz lepszy od miernego, dla pszenicy i rzepaku.

Ozimy przedstawiły się lepiej na ziemiach odzyskanych niż na dawnych w pszenicy i koniczynie. Na odwrót, stan ozimego żyta był lepszy na ziemiach dawnych.

Najlepszy stan żyta — w świetle sprawozdań — wykazywał Śląsk Opolski, pszenicy — Pomorze zachodnie, rzepaku — województwo krakowskie, koniczyny — Mazury.

(Źródło: wiadomości Statystyczne Głównego Urzędu Statystycznego, kwiecień 1946, zeszyt 4).

## PRODUKCJA PRZEMYSŁOWA

Z długiej tabeli, zestawionej przez Główny Urząd Statystyczny (1946, zeszyt 4), wynika wzrost produkcji we wszystkich dziedzinach, górnictwie, hutnictwie, przemyśle mineralnym, metalowym, elektrotechnicznym, chemicznym, włókienniczym, papierniczym, skórzanym, produkcji energii elektrycznej.

Bardzo wysoki wzrost produkcji brykietów wskazuje na szybką odbudowę tej gałęzi przemysłu węglowego. W listopadzie 1945 roku produkcja wynosiła niespełna 10 tys. ton, w styczniu 1946 — ponad 30 tys. ton. Wydatnie wzrosło wydobycie rudy pirytowej i soli kamiennej i warzonej.

Na grudzień ub. roku przypada spadek w całym szeregu gałęzi wytwarzania w stosunku do listopada, ale w styczniu bieżącego roku nie tylko wrócono do poprzedniego stanu, ale przewyższono go znacznie: w surówce, stali, walcówce, taśmie walcowanej na gorąco, zestawach kołowych, odlewach żeliwnych, blasze cynkowej. W listopadzie 1945 wyprodukowano 64 obrabiarek, w grudniu 75, w styczniu 1946 — 90. Od kwietnia do grudnia ub. r. liczba wyprodukowanych obrabiarek wszelkiego rodzaju wyniosła 375, gdy wedle osiągniętych styczniowych (które niewątpliwie wzrastają) doszłyby za tyle miesięcy 1946 roku, szacując wedle stanu ze stycznia, do 810 obrabiarek, co oznacza więcej niż podwojenie. Zwiększono również wyrób kieratów, młockarń, siewczarni, plugów, radeł i bron. Parowozów nowych budujemy miesięcznie 14, wagonów towarowych nowych zbudowano w styczniu bież. roku 117, różnych transformatorów 31. Wzrosła bardzo produkcja śrub, nitów i innych części toczonych z żelaza, okuć budowlanych, przewodów izolowanych i drutów nawojowych, akumulatorów, ogniw suchych.

Z pozycji wykazujących bardzo pomyślny wzrost produkcji warto jeszcze wymienić nawozy sztuczne, farby mineralne, amoniak, mydła wszelkie, zapalki. Z wyrobów przemysłu włókienniczego tkaniny bawełniane, wełniane i włókien litych, w przemyśle papierniczym miążgi drzewnej i papieru, w przemyśle skórzanym przede wszystkim skór podszewowych, w spożyciu papierosów bezustnikowych.

Nasze elektrownie wytworzyły w listopadzie ub. r. 435 000 000 kWh energii elektrycznej, w styczniu zaś bież. roku — 477 milionów kWh.

Wrzeczion zainstalowanych w przemyśle włókienniczym było w listopadzie ub. roku 1 506 000 w styczniu bież. roku 1 765 000, liczba krosien zainstalowanych wzrosła w tym czasie z 36 978 do 56 238, czynnych z 27 185 do 37 412.

Dzięki pracy idziemy naprzód, pomimo wielu trudności — przebojem.

js

## Płoną róże!

Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy — odpowiadają, nie rozumiejąc, że poeta kazał te słowa powiedzieć postaci, która nie tylko nie żałuje róż, ale czyni wszystko, aby czym prędzej spłonęły i lasy. Sprawy kultury i sztuki są równie pilne jak sprawy gospodarcze. Nie było takiego okresu czasu, żeby gdzieś jakieś lasy nie płonęły, żeby nie było potrzeb i trosk, zdawałoby się, pilniejszych niż troska o ową różę sztuki. A jednak, pomimo pożarów, lasy zawsze jakoś rosną, ludzie podstawowe sprawy gospodarcze zawsze jakoś załatwiają, lecz sztuka nie zawsze zakwita. Troska o nią jest równie ważna, równie pilna jak troska o sprawy tak zwane bytowe, a nawet pilniejsza. Róża sztuki — raz spłonawszy — nie rozkwitnie po roku; łatwiej odbudować most, niż, zniszczywszy przez niebaldstwo orkiestrę symfoniczną, wychować muzyków.

Państwo nie wydaje na kulturę i sztukę nawet jednego procentu swojego budżetu. Sytuacja w niejednej dziedzinie pracy artystycznej jest z braku potrzebnych kredytów katastrofalna. Grozi załamanie się osiągniętych już rezultatów.

Alarmuję w sprawie najbardziej palącej: w sprawie chóru Państwowej Filharmonii w Krakowie.

Jest to jedyny regularnie pracujący zespół wokalny w Polsce. Podziwialiśmy go w „Litani” i w „Stabat Mater” Szymanowskiego. Żadna z naszych filharmonii nie zdołała zorganizować takiego zespołu i tylko ten chór w Krakowie może stać się zespołem reprezen-

tacyjnym. W ubiegłym sezonie chór Filharmonii Krakowskiej pracował w niezmiernie ciężkich warunkach. Śpiewacy nie otrzymują wynagrodzenia, są to zaiste ofiarnicy sztuki. Ale poświęcenie trwać może tak długo, jak długo starczą siły. Ludzie ofiarujący swój czas bezinteresownej służbie dla sztuki, zniewoleni przez głód, sprzedawczy ostatni płaszcz — rozproszą się w poszukiwaniu zarobku, chór się rozpadnie.

Chór ten musi być utrzymany jako zespół państwowy. Tylko śpiewacy opłacani będą mogli poświęcić swój czas i zapewnić wykonanie poważnych dzieł oratoryjnych. Zbliżają się dwie ważne rocznice: w r. 1947 dziesięciolecie śmierci Szymanowskiego, w r. 1949 setna rocznica śmierci Chopina. Muzycy polscy planują wykonanie wszystkich kompozycji autora „Harnasiów”, które wymagają chórowi, i to chórowi stojących na najwyższym poziomie. Dla uczczenia rocznicy chopinowskiej zamierzają zaprosić do Polski na festiwal Międzynarodowego Towarzystwa Muzyki Współczesnej muzyków z całego świata. W skład programów tych corocznych festiwali wchodzić wyjątkowo twory kompozytorów współczesnych, trudne do wykonania i wymagające wyszkolonych chórowi. Wysoki poziom osiągnie chór, jeśli będzie stale i systematycznie ćwiczył, będzie ćwiczył, jeśli śpiewacy będą mogli poświęcić mu cały swój czas, a poświęcą swój czas, gdy będą wolni od pracy zarobkowej. Chór musi przejść na etat państwowy.

Wielki zespół chóru liczy około 150 osób

i wydatki na jego utrzymanie będą znaczne. Skąd wziąć na to pieniądze, gdy wysiłki o wydatne podwyższenie kredytu na kulturę i sztukę okazują się daremne? Różę pioną, sprawą nagli: trzeba się zdecydować na zlikwidowanie nietwórczego departamentu w Ministerstwie Kultury i Sztuki, mającego rozpo- wszechniać nieokreślona bliżej kulturę. Zrezygnować z istniejącego czy projektowanego Centralnego Instytutu Kultury. Sumy, które pochłania ten instytut, obrócić na chór Filharmonii Krakowskiej, a jeśli nie wystarczą, wołać na alarm. Pioną różę, bez których nie mają wartości i lasy.

Julian Przyboś

## KRONIKA KULTURALNA ZSRR

Planowa energetyka. Członek akademii G. Krzyżanowski charakteryzując wyniki planowej energetyki w ZSRR, uprawianej na zasadzie planu „Goelro” z grudnia 1920 roku, pisze m. i.:

„Planowa energetyka socjalistyczna w szerokim znaczeniu, zdążyła do uzbudzenia przemysłu we wszelkie rodzaje współczesnej automatyki i uposażenia go w współczesną broń wytworzenia. Wymaga wyzyskania energii elektrycznej, ciepłej, wodnej oraz wszelkich rodzajów występujących w przyrodzie zapasów energii.

W wszystkich tych dziedzinach jesteśmy jeszcze dalecy od ostatniego słowa. Lecz należy zaznaczyć, że jeśli czwarta rewolucja przemysłowa będzie nawiązana z wykorzystaniem energii atomowej, to wcale to nie oznacza, że naturalne źródła energetyki będą ignorowane. Nie jest przypadkiem, że amerykańscy pracownicy w dziedzinie energii atomowej tak często zestawiają swe nowe wyliczenia z planami wyzyskania pól oleju skalnego.

ZSRR jest nader bogaty w surowce energetyki różnego rodzaju i naturalne zapasy energii. Stan ten uznają autorowie amerykańscy, którzy przed wojną światową dokonali szczegółowego przeglądu surowcowych źródeł świata. Wynika z nich, że USA wraz z Kanadą znacznie ustępują miejsca ZSRR; który stoi na pierwszym miejscu pod względem ilości i różnorodności swoich surowcowych rezerw.

Na szczególną uwagę zasługują rezerwy wodne. Jeden basen angarski może być bazą gwarantującą corocznie 100 miliardów kilowatów energii elektrycznej przy czym urządzenia angarskie mogą pracować okrągły rok z maksymalną wydajnością i dawać nadzwyczajnie tanio energię elektryczną. Trzeba przy tym mieć na uwadze, że każdy miliard kilowatów-godzin elektroenergi odpowiada w przybliżeniu 700 tysiącom ton paliwa, co dość jasno charakteryzuje zbawienny wpływ hydrocentral na cały bilans opałowy.

Gdy układano plan Goelro, nadające się do wyzyskania zapasy wodne republiki rosyjskiej szacowano na 20 milionów koni parowych. Pod koniec trzeciego pięcioletnia (1942) roczna produkcja elektroenergi w hydrocentrach przekroczyła 12 miliardów kilowatów-godzin. A w niedawno wyprodukowanym sprawozdaniu powiedziano: „Ogólna ilość energii zgromadzonej w rzekach ZSRR szacowana jest na 2 460 miliardów kilowatów-godzin rocznie, co równa się rocznej produkcji węgla o sile 280 milionów kilowatów”.

Zestawienie tych liczb z światowym bilansem elektrycznym, który wynosi wszystkiego 600 miliardów kilowatów-godzin, ukazuje niestychane bogactwo hydrorezerw ZSRR. Ponieważ w danym wypadku idzie o wieczną, wznawianą przez przyrodę energię, tedy żadne dobrodziejstwa energii atomowej, która będzie posłuszną woli człowieka, nie zepchną na dalszy plan znaczenia olbrzymich rezerw hydroenergetyki.

Badania uczonych radzieckich wyniosły już hydrodynamikę jako część nauki mechaniki i fizyki na należyty poziom. Automatyka i telemekhanika znajdują w planach czwartego pięcioletnia w dziedzinie hydroenergetyki szerokie zastosowanie w centralach wodnych. Energetyka wiatrów i heliotechnika na razie jeszcze wyrabują sobie ścieżki.

Interesujący swój artykuł w sprawozdaniach Akademii Nauk kończy prof. Krzyżanowski następującymi słowami:

„Jeżeli wziąć pod uwagę zdobycze w dziedzinie praktycznej elektrotechniki, które realizowane są na naszych oczach dzięki wtargnięciu radiotechniki do techniki silnych prądów, oraz jeśli mieć na względzie postęp technicznej fizyki, związany ze zbadaniem procesów elektroniki i jonki — to stanie się jasne, jak potężne rezerwy elektroenergetyki oczekują swej realizacji. A realizacja owych rezerw wydatnie przyspieszy zrównoważenie miasta i wsi, zniweczenie przeciwności między miastem i wsią.

Złoty wiek i świat wielkich cudów jest nie za nami, lecz przed nami”. („Więstnik Akademii Nauk SSSR”, 1946, 1)

Zgon znakomitego uczonego. We wspomnieniu o zmarłym w grudniu ubiegłego roku przesłał Akademii Nauk ZSRR Włodzimierz Komarow, prof. N. Maksymow charakteryzuje działalność naukową, pedagogiczną i społeczną jednego z największych koryfeuszów nauki radzieckiej.

Niezłomny i nieustraszonego podróżnik-geograf, W. Komarow schodził ogromne, prawie niezaludnione obszary Dalekiego Wschodu, Mandżurii, Mongolii, Korei, Kanczatk. Biologowie całego świata uznawali w nim kontynuatora dzieła Darwin, śmiałego nowatora w dziedzinie nauki o roślinozacji, odkrywcy nowych praw procesu ewolucji w geograficznym rozmieszczeniu i w migracji roślin.

Już jako student podjął Komarow poważną wyprawę do środkowej Azji, badał trudno dostępne grzbiety górskie i piaszczyste pustynie i za wyniki naukowe otrzymał srebrny medal Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego. Zmuszony w związku ze swą rewolucyjną działalnością, do opuszczenia Petersburga po ukończeniu studiów uniwersyteckich, udał się na Daleki Wschód, nad rzekę Amur, skąd podjął swoje eksploracyjne podróże. Tu, z dala od książek i życia naukowego, doszedł on do rozległych uogólnień, nie tylko w odniesieniu do pochodzenia i rozwoju flory azjatyckiego kontynentu, lecz także tych czynników, które określają tok ewolucyjnego procesu. Owocem pracy tych lat była 3-tomowa „Flora Mandżurii”, która wysunęła Komarowa do pierwszych szeregów uczonych światowej sławy.

Dalszymi dziełami jego były: „Flora półwyspu Kanczatk”, „Wprowadzenie do flory Chin i Mongolii” i wreszcie wielotomowa „Flora ZSRR” owoc gigantycznego trudu, podjętego z udziałem licznej grupy uczniów. W Komarow był uznanym senio-rem radzieckich botaników i jednym z najbar- dziej autorytatywnych botaników w świecie.

Wielkie znaczenie naukowe mają jego prace z dziedziny teorii ewolucji, w tym przede wszystkim klasyczne dzieło pt. „Nauka o rodzajach u roślin”.

Jako pedagog rozciągał działalność w Krasnodarsku i w Krasnodarsku, zbogacając literaturę podręczników uniwersyteckich („Praktyczny kurs botaniki”, „Pochodzenie roślin”, „Pochodzenie roślin kulturowych” i in.). Komarow był twórcą szkoły łączącej wielu uczniów i uprawiającej żywą działalność naukową w dziedzinie botaniki.

Wybrany członkiem Akademii w 1920 roku, w 1936 został jej prezesem; w tym stanowisku podjął akcję nie tylko w zakresie planowania naukowej działalności, wychowywania kadr pracowników naukowych oraz w dziedzinie wydawniczej. W. Komarow utworzył i stał on czele komisji mobilizacji rezerw i stał on czele komisji Komisja ta odegrała wydatną rolę w przeniesieniu Uraltu w wielki arsenał ZSRR („Więstnik Akademii Nauk” SSSR, 1946, 1).

js